

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. — Do Niemiec: Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

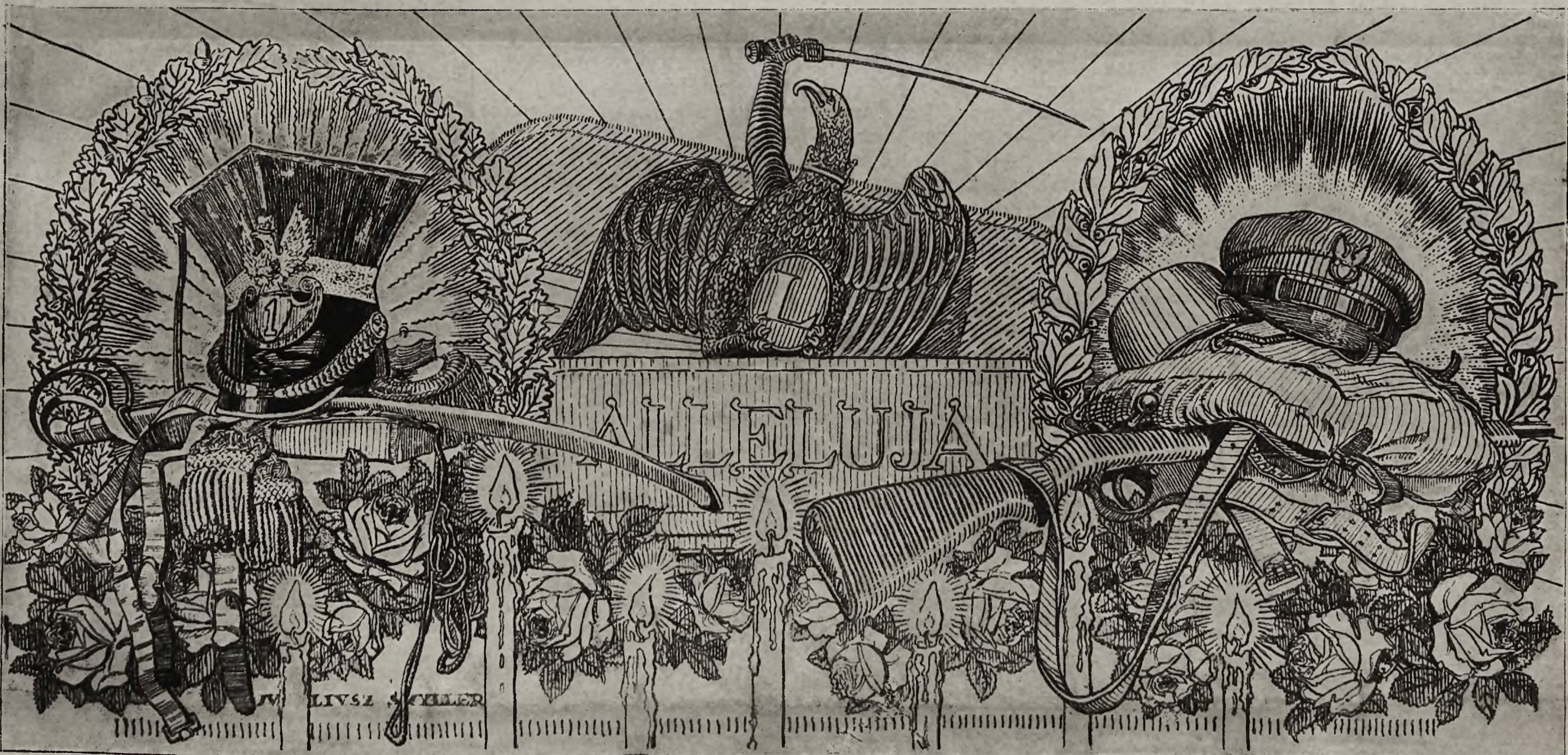
Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 40 halerzy — 20 kop. — 40 fen.

Rok XIV. **Kraków, 7 kwietnia 1917.** **Nr. 14.**

ALLELUJA!



Nowa era, nowe życie!
Już wiosenny powiew wieje,
Ale w trumnie drzemią jeszcze
Wielkie cele i nadzieje!

Przyłóż ucho do tej trumny,
Przebij wzrokiem jej pokrycie:
Tętni w trumnie duch zbudzony,
Tli w popiołach nowe życie!

Wkrótce wstanie Sfinks dziejowy
W majestacie dawnej chwały,
Nad szczątkami własnej trumny
Wzleci w górę Orzeł Biały!

Jak zwyciężać własną siłą,
Niechaj uczy swe pisklęta —
Własną mocą, lecz nie cudzą,
Więzy grobu niech rozpęta!...

K. K.

Odsłonięcie Tarczy Legionów w Przemyślu.

Na dzień 20. marca wyznaczono zdawna już przygotowaną uroczystość odsłonięcia Tarczy pamiątkowej, Legionom polskim przez miasto Przemyśl poświęconej. Obszerny komitet obywatelski pod protektoratem JE. ks. biskupa dr. Pelczara, a przewo-

Kolumnę, na której w przyszłości Tarcza wsparta zostanie, rzeźbi artysta Józef Wilk. Orkiestra odegrała polski hymn narodowy. Na mownicę wstąpił inż. Kędzierski i w imieniu Komitetu dokonał aktu odsłonięcia. Z ust zebranego tłumu popłynęła pieśń Legionów. Imieniem gminy przemyskiej przemówił komisarz rządowy Łyszkowski. Rozpoczęła się uro-



Tarcza Legionów w Przemyślu: Uroczystość odsłonięcia Tarczy. (Fot M Todt, Przemyśl).

dnictwem Władysława ks. Sapiehy, marszałka przemyskiego powiatu, w porozumieniu z Ligą Kobiet dołożył wszelkich starań aby, w godnym polskiego grodu obchodzie, chwilę tę w umysłach mieszkańców upamiętnić. Na wezwanie komitetu przybrano okna w wytworne nalepki z podobizną tarczy, projektu prof. Jankowskiego, wykonane wzorowo w typograficznej pracowni J. Styfiego.

O godzinie dziewiątej rano zebrały się w kościele katedralnym reprezentacye władz rządowych i auto

czystość wbijania gwoździ honorowych. W imieniu nieobecnego z powodu słabości ks. biskupa dr. Pelczara wbił pierwszy gwóźdź złoty ks. biskup Fischer. Po nim w porządku przesuwali się przedstawiciele powiatu i gminy, komendy wojskowej i komendant przyczółka mostowego, gen. Madziara, starosta Heller, członkowie kapituły, biura wojskowe, delegacye korpusów oficerskich 6. pułku ułanów, 45. p. p., 10. batalionu saperów, 10. dywizyi trenu, oficerowie Stacyi zbornej Legionów polskich z ko



Tarcza Legionów w Przemyślu: Wbijanie gwoździ honorowych (Fot. M Todt, Przemyśl).

nomicznych, cywilnych i wojskowych, korporacye i towarzystwa Legioniści, szkoły i patryotyczna publiczność polska. Po uroczystem nabożeństwie, podczas którego ofiary posypały się obficie na fundusz Tarczy Legionów, ruszył imponujący pochód ku Rynkowi. Tu bowiem, naprzeciw bram ratuszowych, stanął pawilon zakopiański inżyniera Baranieckiego, w którym na razie umieszczono Tarczę.

mendantem Dostalem na czele, izraelicka gmina wyznaniowa, przedstawicie sądu obwodowego, dyrekcyi skarbu, poczty, gimnazyów i seminaryum i t. d., wreszcie nieprzerwany łańcuch publiczności.

Pod artystycznem kierownictwem prof. St. Jankowskiego rozlśniła wnet okazała dębowa tarcza złotymi i srebrnymi gwoździami, za którymi poszły w ślad i żelazne.

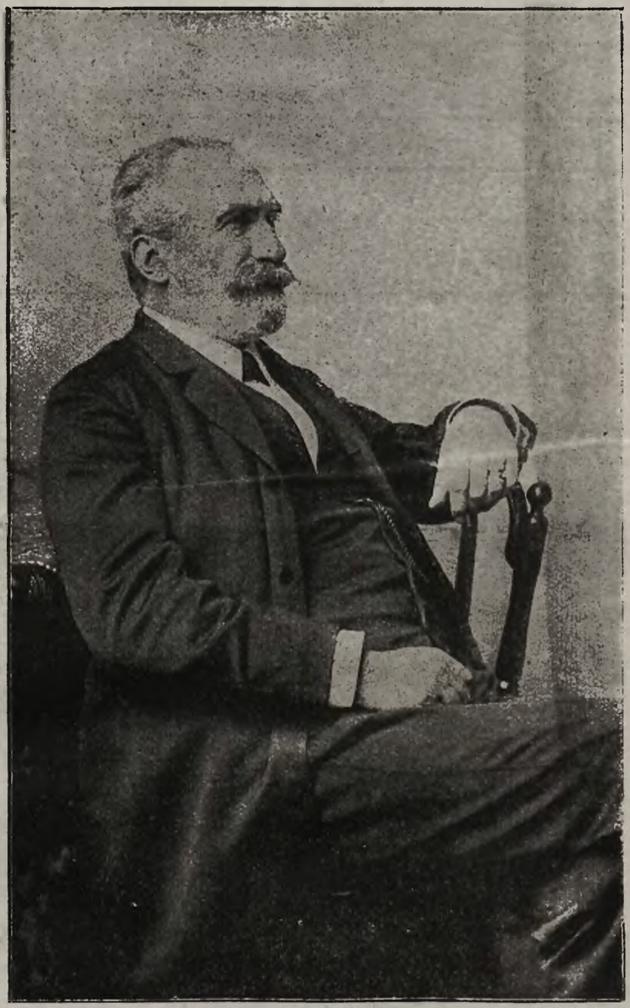
Dochód przyniósł już do południa przeszło dziesięć tysięcy koron. Uproszone panie zajęły się nadto przy stolikach rozsprzedażą artystycznych pocztówek z wizerunkiem Tarczy, odznak i pamiątkowych programów z okolicznościowym wierszem S. Wefnera na dochód funduszu dla wdów i sierót po Legionistach, tudzież inwalidów legionowych.

Piękna uroczystość, ozłocona pierwszymi promieniami wiośnianego słońca, miała przebieg podniosły i przynajmniej na godzin parę przerwała szarą troskę trzeciego roku wojny.

Z żałobnej kroniki krakowskiej Almae Matris.

Ostatnie lata zapisały się bardzo smutno na kartach dziejów krakowskiej Wszechnicy... Smierć wśród grona naszych uczonych zbierała plon obfity, nie było prawie miesiąca, by z szczytu gmachu najwyższej uczelni nie powiewała czarna chorągiew, zwiastująca żałobną wieść, iż w gronie jej nauczycieli powstała znowu szczerba, że nauka polska poniosła nową stratę.

Dziś stoimy nad otwartą mogiłą dwu profesorów Uniwersytetu krakowskiego, których zgon opłakuje, śmiało rzec można, całe polskie społeczeństwo,



Z żałobnej kroniki krakowskiej Almae Matris: S. p. rektor dr. Fryderyk Zoll (starszy).

wiedzące, co traci, a nie wiedzące, w jaki sposób tę bolesną stratę powetować. W ubiegłym tygodniu złożono w Zakopanem na wieczny spoczynek zwłoki znanego botanika, profesora dra Maryana Raciborskiego, a w ostatnich dniach zmarł w Krakowie nestor naszych prawników, emerytowany profesor i były rektor krakowskiej Almae Matris, dr. Fryderyk Zoll, starszy, znakomity jurysta i cenony pedagog, z pod którego rąk tysiące wyszło uczniów, zajmujących dziś najwybitniejsze w kraju stanowiska. Żałobą okryła się nie tylko Wszechnica, ale i całe miasto, które w ś. p. rektorze Fryderyku Zollu traci nadzwyczaj zasłużonego obywatela. Ze śmiercią jego ubywa Krakowowi typ uczonego i prawego obywatela, ubywa profesor starszej daty, postać, która u wszystkich wzbudzała szacunek i miłość. Konserwatysta z przekonania, nie brał jednak ś. p. rektor Zoll czynnego udziału w walkach stronnictw, cieszył się ogólnym szacunkiem u ludzi wszelkich przekonań, którzy cenili w nim czysty i prawy charakter, niezłomność zasad i wyjątkową dobroć serca.

S. p. Fryderyk Zoll urodził się 2 grudnia 1834 w Dolnej Wsi pod Myślenicami. Do gimnazyum uczęszczał w Bochni i Krakowie, gdzie też ukończył studya prawnicze i uzyskał doktorat. Po krótkiej praktyce przy Prokuratoryi Skarbu w Krakowie, habilitował się w r. 1862 w krakowskim Uniwersytecie jako docent prawa rzymskiego, którego w rok później został profesorem nadzwyczajnym, a w roku

1865 zwyczajnym. Piastując kolejno wszystkie uniwersyteckie godności, został z kolei radcą dworu, a w r. 1889 powołano go do austryackiej Izby panów. Był też członkiem czynnym i wiceprezesem krakowskiej Akademii Umiejętności.

Spuścizna naukowa po ś. p. Zollu jest okazała, największą przysługę oddał nauce prawa rzymskiego ogłoszeniem treściwego i jasnego podręcznika „Pandektów".

Z działalnością uczonego i profesora szła równolegle i działalność obywatelska i polityczna Zmarłego. Od r. 1878 był do ostatnich prawie czasów członkiem Rady miejskiej krakowskiej i to jednym z najczynniejszych i najpracowitszych, posłował też do Sejmu krajowego z mniejszych posiadłości powiatu wadowickiego. Za zasługi obywatelskie cały szereg miast galicyjskich mianował go swym obywatelem honorowym.

Jako profesor i opiekun młodzieży pozostawia po sobie ś. p. rektor Zoll jak najlepszą pamięć. W stosunkach z uczniami uczynny i serdeczny, zyskał sobie miłość i wdzięczność całych generacyi prawników, którzy opłakują dziś zgon swego nieodżałowanego nauczyciela, przyjaciela i opiekuna.

Cześć Jego pamięci!



Z frontów bojowych: Bośniacy, jako woźnice przy austryacko-węgierskich pociągach.

Święta w polu.

Czwarty już rok wstrząsa Europą największa w dziejach wojna... Czwarty już rok stoją walczące armie w polu — zdala od swych rodzin, od najbliższych, a po raz trzeci w obecnym 1917 roku rozlega się radosne „Alleluja" przy odgłosie armat, wśród krwawej pożogi... W tej uroczystej chwili biegną ku sobie serca, rozdzielone twardą koniecznością wojenną, a wśród modlitwy zarówno tu, jak i tam w polu ożywia wszystkich wielka nadzieja Zmartwychwstania... Choć wre jeszcze walka, choć rosną wciąż nowe groby, patrzymy z ufnością w przyszłość, że to ostatnie święta, które spędzają nasi najbliżsi w rowach strzeleckich, w obliczu nieprzyjaciela, że skończy się wreszcie ta męka, a radosne „Alleluja" obwieści nam wszystkim wolność i zmartwychwstanie niepodległej Ojczyzny.





Tragiczny zgon pruskiego księcia:

Książę Fryderyk Karol pruski (X) w rozmowie z ks. Fryderykiem Zygmuntem na jednym z niemieckich torów wyścigowych.

Książę Fryderyk Karol pruski podczas brania przeszkody na wyścigach.



Z frontów bojowych: Ostrzeliwanie nieprzyjacielskiego samolotu.

Tragiczny zgon pruskiego księcia.

Według doniesień niemieckiej kwatery głównej z dnia 22. marca, w czasie walki na zachodnim froncie, w której wzięły udział i samoloty obu stron, samolot, którym sterował książę Fryderyk Karol pruski, nie powrócił z lotu ponad liniami nieprzyjacielskiemi między Arras a Peronne. Jak się później okazało, niemiecki aeroplan skutkiem poważnych uszkodzeń, jakie odniósł z powodu ostrzeliwania przez nieprzyjacielskie baterye i karabiny maszynowe, zmuszony był do wylądowania na terenie, zajętym przez nieprzyjaciela, gdzie pilot wraz z obserwatorem, ranni dostali się do angielskiej niewoli. Książę Fryderyk Karol, pomimo natychmiastowej pomocy, zmarł w szpitalu.

Marya Prajerówna.

Zmartwychwstajesz!...

Jak orzeł — kierował swą twarz ku słońcu...
I złote blaski padały mu na pobladłe usta, na ślepe, smutne oczy, na twarz przedziwnie wypięknioną bólem...
Czuł, że ogarnia go promienna jasność, że kąpie się cały w wiośnianem cieple... Ale wokół niego noc była straszna i beznadziejna...
Znużoną miał duszę — owym nieustannym mrokiem i rozpaczą, co żarła serce...
...Dwadzieścia pięć lat... to życie jego całe z przeczarowywał w duszy przecudne wspomnienia dni minionych...
Rodzinny dom... Pobladła wzruszeniem twarz matki, roześmiane radością oczy sióstr, pogodne spojrzenie ojcowskich źrenic...
A potem... jeszcze jeden uśmieszek drogi... miluchny, jeszcze jedno spojrzenie ciepłe, a takie bardzo liliowe, wiośniane i czyste...
Ile to lat zbiegło od chwili, gdy pożegnał bezpowrotnie ten zaczarowany świat szczęścia?...
Niewiele... trzy zaledwie... a jemu się zdaje, że wiek cały dźwiga na ramionach, że mu lata posrebrzyły już włosy, a przebyte troski ugięły czoło ku ziemi.
Głowę pochylił pod ciężarem dumań...
Powoli cisza wieczoru zrodziła dziwne wizye, rozbudzona tęsknota wyrzeźbiła obrazy pełne uwodnego czaru.
w krainy słoneczne wiarą i nadzieją... dziś złamane, kruche i słabe włóczą swe zranione pióra po ziemi...
Dlaczego?...
...Pusto... jak szeroko, jak daleko tęsknota sięga — pusto i beznadziejnie...
Tyle dni i tygodni minie, a nic nie zmieni się w smutnym szeregu dni...
Samotność!... Szarej tkanki codziennych dumań i tęsknot i obaw nic nie przełamie, nic nie rozświetli ani na chwilę...
„Gniazdko" jego na zawsze zimne i puste zostanie... Nieubłagany wicher przeznaczeń rozniesie źdźbła daleko... rozrzuci po skałach i pustyniach... że nawet śladu nie zostanie z dawnych marzeń o szczęściu!...
Jeno ból... Ten nie minie, ten na wszystko rzuci szary proch... wszystko pokryje pleśnią...

— — — — — — — — — — —



Święta w polu: Komunia.

pychem wiosny — kwiatów — słońca — gwiazd i wszystkiego, co czarować umie oczy i porywać zmysły...
A teraz już noc... I ile lat tej nieprzerwanej ani na moment życiowej katorgi?... Ile dni w męce ducha, w tęsknocie za światłem i słońcem?...
Przesunął ręką po oczach... nie, łez tam niema... żelazną wolą opanowywał każdy zewnętrzny objaw bólu...
I szarym, strzeleckim płaszczem owinął się nagle, jakby ukryć pragnął drżenie ciała, na które padały przecież snopy wiosennego słońca...
Gdzieś daleko zagrały dzwony... gdzieś blisko zanucił ptak wesoły, upojny śpiew życia...
A on uczuł się nagle bezgranicznie samotnym i wydziedziczonym ze wszystkich skarbów ziemi — ze wszystkich czarów życia...
Dzwony biły długo — podniośle. Ich spiżowe serca podawały światu cudowną wieść Zwycięstwa i Zmartwychwstania...
A młody chłopak w mundurze strzeleckim wy-
I zadrgało mu serce bólem krwawym i bezgranicznym...
...Oto tam... daleko... ktoś ginie z pragnienia... ktoś ma spieczone gorączką usta i stęsknioną duszę...
A w nim kona tyle dobrych uczuć, ginie marnie tyle płomiennych porywów...
Jak przez pękniętą czarę — przenikają czyste krople cudnego napoju, mogącego krzepić i zsyłać liliowe sny... i giną marnie...
Kielich ducha traci kroplę po kropli swej najżywotniejszej treści, a nie padają one nigdzie, jako dobra rosa, zdolna rozwinąć wonne, przepyszne kwiaty szczęścia... Nie, one nie dają nic ze siebie, nie rozpalają żadnych gwiazd na niebie życia, a giną marnie...
...Smutno mu... smutno tak, jak dawno, dawno nie było...
I nagle czuje, że to jego usta spieczone są gorączką i pragnieniem, a niema nic, coby je ożywiło... że jego duszę pochłania przeogromna tęsknota, a skrzydła, które miały niegdyś śmiały lot i unosiły ją
Radosny tryumf zwiastują dzwony...
„Zmartwychwstał!"...

— — — — — — — — — — —

Podnosi głowę — smutne, ślepe oczy kieruje ku niebu, gdzie pojawiają się pierwsze blade gwiazdy...
W tym dźwięku rozedrganych, spiżowych serc idzie ku niemu coś bliskiego i bardzo drogiego...
Jakiś głos odtrącony, a najmilszy... Jakiś czar — cichy a głęboki... jakaś myśl wielka a przecież zapomniana w chwili zwątpienia i bólu...
...I w ślepych oczach promienna lśni radość, a drżące usta szepcą:
...„Hojnie zapłacone wszystko... nagrodzona krew i ból mój... i kalectwo życia...
...Ty Wielka i Umiłowana — przyjmij ofiarę mego życia, a szczęśliwy spocznę u Twoich stóp...
...Bo oto — Zmartwychwstajesz — Ojczyzno!..."

— — — — — — — — — — —

A dzwony w liliowym zmierzchu wiosennego wieczoru — podawały gwiazdom wieść radosną!...

W Lipnicy Murowanej, 1917 roku.

Adam Wiaryga Minieski.

Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

27

— Moja Józiu, ty wiesz, że jestem konserwatywna w uczuciach i, jak kto raz znajdzie drogę do mojego serca...

— Och! Anielko...

— Proszę cię, zrzuć ten płaszczyk, bo tutaj jest gorąco... Zaziębisz się... A teraz siadaj i siedź spokojnie.

— Już siedzę — odpowiedziała Józia z tą swoją potulną minką grzecznej dziewczynki, którą umiała zawsze rozbrajać przyjaciółkę.

— Widzisz, to, czy ja się gniewam, czy nie gniewam, to rzecz podrzędna.

— O, przepraszam! Dla mnie to jest właśnie najważniejsze.

— Nie przerywaj, tylko słuchaj! Tu chodzi o ciebie. Co będzie dalej?... Józiu, jakeś ty mogła! Powiedz, nie pomyślałaś o nas wszystkich, których tak łatwo, tak bez zastanowienia rzuciłaś?

W głosie Walczakowej zadźwięczał wyrzut prawie bolesny.

Józia nie odpowiadała chwilę, walcząc ze łzami, które ją znowu dławić zaczynały.

— Powiem ci szczerze, tak, jak na spowiedzi — wyrzekła wreszcie cicho — że, dopóki nie zobaczyłam Konrada, nie myślałam o nikim, ani o niczem, jak tylko o nim. Dopiero później, kiedy sobie przypomniałam, kiedy się zastanowiłam... O, mój Boże!... Co mówił pan Kazimierz?! On mnie i tak nie bardzo lubił, a teraz, to już pewnie myśli, co najgorsze...

— Nie. Kazio bronił cię nawet przedemną.

— Naprawdę? O, jaki dobry i... mądry!... On mnie widocznie zrozumiał!... A pan Ludwik?... Ten, to drwił napewno! Ale mniejsza o niego!...

— A o narzeczonego twego nie pytasz, Józiu? O tego człowieka, którego tak bardzo skrzywdziłaś, któremu życie złamałaś może!...

— Ja... ja bałam się pytać o niego... Biedny Władek!... Czy on już wie?...

— Tak jest, wie. Zjawił się, kiedy pakowałam rzeczy do drogi. Prosto ze stacyi, bo tam już mu zdążyli powiedzieć. Ale on wierzyć nie chciał... Wpadł, jak szalony... tak zmęczony... tak zdyszany, że mógł tylko zawołać: „Gdzie Józia?!"...

— I co? I co?!... — pytała gorączkowo Józia.

— Czyż trzeba ci opowiadać, nie domyślasz się?... Ten człowiek tak nagle ze szczytu szczęścia w przepaść bólu strącony... Józiu!... Tyle ci tylko powiem. Płakaliśmy nad nim!..

— Boże!... Boże!...

— Chciał jechać ze mną. Nie pozwoliłam naturalnie, bo i po co?...

— Anielko!... Anielko!... Ale on sobie nie zrobi nic złego!... powiedz!... prawda? nie zrobi?!...

— Kazio czuwa nad nim... Powiedział, że nie opuści go ani na chwilę, dopóki ja nie powrócę i twojej odpowiedzi, Józiu, nie przywiozę mu...

— Kazał mi coś powiedzieć?!

— Tak... Powtórzę ci jego własne słowa: „Jeżeli Józia zechce... jeżeli pożałuje... to niech wróci... Ja zawsze ten sam... I niech jej pani powie, że przysięgam, jednego słowa wymówki nie usłyszy odemnie"...

— Dobry!... szlachetny!... najlepszy!... a ja mu tak dokuczałam zawsze!... Jak on mnie kocha!... tak mocno, tak prawdziwie!... O, Konrad, ten nie przebaczyłby!...

— Więc wrócisz, Józiu?

— Nie!

— Dlaczego?

— Bo to byłaby podłość i nieszczęście jeszcze gorsze dla nas obojga... Będzie cierpiał, przeboleje, zapomni może z czasem, a tak, to byłoby piekło! Wierzaj mi, żywe piekło!...

— Ach, ten list Zarnickiego! Ten list nieszczęsny!... I pomyśleć, że to właśnie na dwa tygodnie przed ślubem!...

— Nie, Anielko! Ja cię nie chcę łudzić, nie chcę udawać lepszej, innej, niż jestem!... Dobrze się stało!... Bo gdyby to nie dwa tygodnie przed, ale dwa tygodnie, dwa miesiące, dwa lata nawet po ślubie — to byłoby to samo!

Walczakowa przerażona aż odsunęła się od Józi.

— Co, ty Józiu?! Więc przysięga... obowiązek, dobrowolnie przyjęty, nic dla ciebie nie znaczą?!

— Ach, obowiązek!... Puste słowo, jeżeli nie towarzyszy mu miłość!

— Biednaś ty, moja droga!... Nie wskazano ci żadnych celów poza tobą samą!... Nie nauczono cię, że obowiązek, to rzecz świętsza i ważniejsza, niż zachcenie wzburzonej wyobraźni.

Józia, jak to zwykle bywało z nią w chwilach, kiedy się poczuła dotkniętą, uspokoiła się i podniosła.

— Dobra jesteś, Anielko... bardzo dobra i bardzo rozumna... a jednak krzywdzisz mnie teraz... Ty jednej rzeczy nie rozumiesz... nie doceniasz we mnie... Zresztą, skądżebyś miała, kiedy ja sama dopiero teraz zrozumiałam... Ty nie wiesz...

— Czego nie wiem?... Czego nie rozumiem?!

— Tego, jak bardzo... bezgranicznie... szalenie ja kocham Konrada!... To nie kaprys romansowy... to nie wybryk awanturniczy, jak się tobie może zdaje... to uczucie takie wielkie, takie potężne, że chyba równie silne jak śmierć!

Dziwnie zabrzmiało, silnie zaakcentowane, słowo: śmierć, w ustach purpurowych dziewczyny, która zdawała się być uosobieniem kwitnącego życia.

— Dziewczyno, zmiłuj się! Dlaczegoś ty z nim poprzednio zerwała?! Przecież nie byłoby tego wszystkiego.

Józia zarumieniła się. Znać było, że waha się z odpowiedzią.

— Widzisz... to może jedyna rzecz, w której nie byłam z tobą zupełnie szczera. Wstydziłam się... Ale teraz ci powiem... Zerwałam, bo wyczułam, że jeżeli nie ja pierwsza, to on...

— Więc on ciebie nie kocha?!

— Owszem, kocha... przekonałam się o tem teraz... ale on słaby, chwiejny... jego matka ma wielki wpływ na niego...

— W takim razie nie wart, żebyś go tak kochała!... Matka!... wpływy!... śmieszne!... Przecież to nie dziecko, nie chłopaczek, ale mężczyzna dojrzały! I gdzie twoja ambicya, gdzie godność kobieca?!

— Nie mów mi o ambicyi! Może byłoby lepiej, gdybym dawniej mniej miała ambicyi!... gdybym się zdecydowała walczyć o jego miłość za wszelką cenę, ale byłam za młoda... za dziecinna!

Rozczulenie mignęło w oczach Walczakowej. Łagodnie, pieszczotliwie położyła rękę na ramieniu Józi.

— Oj! Ty moja poważna istotko!

— Czasem jedna godzina cierpienia uczy więcej, niż całe lata... Ja dużo zrozumiałam... Widzę w twoich oczach niedowierzanie... Czekaj: nie mów nic... wiem, co chcesz powiedzieć... Będziesz stawiała zarzuty Konradowi... słuszne zarzuty, ale to dla mnie wszystko jedno. Widzisz, czytałam kiedyś skandynawską balladę o dziewczynie Blidelil, na którą rycerz Tidemand rzucił „runy"... czary... Nie znała go... zniewolił ją czarami i przyszła do niego... a potem ze wstydu i rozpaczy rzuciła się w morze... I ze mną tak jest... On mnie urzekł poprostu... oczarował... Muszę iść za nim, kiedy mnie zawoła... choćbym nie chciała... choćby mi potem przyszło...

Wstała z kanapki i podeszła do okna. Słońce zapaliło złoto-rdzawe błyski w jej jasno bronzowych, rozrzuconych teraz w nieładzie włosach.

Blada była, a oczy jej turkusowe, jak fala Adryatyku w pogodę, płonęły dziwnym ogniem, który szedł od wewnątrz.

Anielka patrzyła na nią jak oczarowana.

Zdało się, że widzi przed sobą żywą illustracyę do smutnej legendy skandynawskiej o pięknej Blidelil.

I w cichości serca powiedziała sobie, że pomimo wszystkich wad Józi, gdyby była mężczyzną, zakochałaby się w tej cudnej, niezwykłej dziewczynie.

— Ona inna, niż ja — pomyślała — inna, niż wszystkie kobiety, które znam... Nie można do niej przykładać pospolitej, szablonowej miary... Ale... czy będzie szczęśliwa?

Podeszła do Józi i obejmując ją ręką za szyję, zaczęła przyciszonym głosem:

— Józka... jeżeli tak bardzo go kochasz... Kazio jednak lepszy psycholog odemnie. On cię zrozumiał odrazu... Masz racyę, że lepiej się stało, bo coby to było za małżeństwo... Tylko, Józiu... nie powinna byłaś decydować się...

Józia ocknęła się ze swego zamyślenia, jakby ze snu zbudzona.

— Co mówisz, Anielko?... Że nie powinnam była oszukiwać Michnika?... Wiem o tem. Byłam wtedy zrozpaczona... Ojciec... macocha... Stobiński... no, wiesz przecież... Ja Michnika lubiłam zresztą... myślałam, że się przemogę... że będę dobrą żoną...

— No, to już skończone. Chłopi powiadają, że żałować tego, co było, to jakby sitem wodę czerpać... Mówmy o teraźniejszości i przyszłości. Czy Zarnicki bardzo chory?...

Twarz Józi rozjaśniła się nagle uczuciem wielkiej, głębokiej radości.

— Wiesz, zrobiło mu się lepiej, kiedy mnie zobaczył! Mój złoty Konrad tak bardzo tęsknił za mną... Miał zapalenie płuc, ale najgorsze już przeszło... Doktór Rzęśniewski mówi, że teraz będzie już wracał do zdrowia...

— To mnie cieszy. Uważam, że wobec tego, co zaszło, powinniście się pobrać, skoro tylko on będzie mógł wstać z łóżka.

Chwilowe rozpromienienie zniknęło. Józia uśmiechnęła się smutnie.

— To niemożliwe, Anielko!

— Dlaczego?!

— Bo jego matka nigdy nie zgodzi się na to.

— Cóż znaczy w tym wypadku matka?! Moja ciotka i opiekunka także nie chciała, abym ja wyszła za Kazimierza. Dlaczegoby zresztą nie miała się zgodzić?

— Ona mnie nie cierpi, a chciałaby ożenić Konrada z jedną panną bogatą bardzo i z arystokratycznej rodziny.

— No, takie życzenia miewa prawie co druga matka. Opowiedzże mi coś więcej o tej matce, jeżeli wiesz. Czy ona jest tutaj ze synem?

— Tak.

— Jakże cię przyjęła?

Stwardniały rysy Józi.

— Nie pytaj lepiej.

— Owszem, będę pytać. I proszę cię, Józiu, opowiedz mi wszystko, tylko szczerze, otwarcie, nie przemilczając niczego. Chyba masz do mnie zaufanie?

— Jak do nikogo innego na świecie... Wiesz przecież o tem.

Józia usiadła znowu na kanapce i nie podnosząc oczu na przyjaciółkę, cichym głosem snuła nić opowiadania. Przerywała je kilkakrotnie, bo niektóre szczegóły z rozmowy z Zarnicką przez gardło przejść jej poprostu nie chciały.

Przezwyciężała się jednak i mówiła dalej. Przeżywała w wspomnieniu jeszcze raz ten ból... ten wstyd... to upokorzenie...

Anielka słuchała w milczeniu, nie dodając ani słowa od siebie. Była zdania, że wszelkie uwagi na ten temat byłyby nie tylko niepotrzebne, ale niedelikatne i przykre.

Kiedy Józia skończyła, Walczakowa rzekła krótko:

— Zaraz po obiedzie pójdę do pani Zarnickiej.

Józia zerwała się z płonącemi oczyma.

— Anielko! Nie zrobisz tego!

— Cóż ty znowu?... Dlaczego?

— Ona pomyśli wtedy, że ja naprawdę dla małżeństwa... A ja nie... ja nie myślałam o tem... ja za miłość nie chcę zapłaty!...

— Józiu, ja ciebie znowu zaczynam nie rozumieć! Jakto, ty nie chcesz zostać żoną Zarnickiego?

— Nie... nie... to nie to!... Jabym chciała... toby było takie wielkie... takie nieskończone szczęście... być zawsze przy nim...

— A zatem...

— Ale ja wiem... ty powiesz, że on musi, powiesz, że to jego obowiązek, bo ja jestem skompromitowana... A niech sobie będę!...

Anielka spojrzała Józi w oczy bardzo poważnie, stanowczo i trochę surowo.

— Jesteś więcej dziecinna i nierozważna, niż nawet ja przypuszczałam. Rozumiem twoją szlachetną drażliwość, ale wszystko musi mieć swoje granice! Nie usłucham cię, Józiu, postąpię według mego uznania... Pomijając to, że mnie twój los serdecznie obchodzi, jestem za ciebie odpowiedzialną wobec twego ojca...

— Ojca!... — zawołała nagle Józia, jakby uderzona tym wyrazem, który pchnął jej myśli w inną stronę.

Na wspomnienie ojca, zadrżała...

— Anielko! Czy ojciec mój wie?...

— Prawdopodobnie już wie. Kazio napisał list do niego. Niepodobna było to przecież taić!

— Boże! Boże!...

Dopiero teraz śmiertelna, obłędna trwoga zaczęła wstrząsać dziewczyną.

— Anielko! Obroń mnie przed nim!...

— Nie bój się, dziecko, nie bój się!

Zapukano do drzwi. Była to służąca z pensyonatu, która przyszła oznajmić pani Walczakowej, że obiad podany.

— Zaraz przychodzę! Józiu, uspokój się, przemyj oczy! Nie można robić ze siebie widowiska. I przyczesać się musisz i przebrać! Prędko, prędko, dopomogę ci! Nie lubię się spaźniać.

— — — — — — — — — — — — —

Z brzękiem rozleciały się po podłodze szczątki gipsowej statuetki, którą Maliniewicz w uniesieniu gniewu rzucił o ziemię. Żyły nabrzmiały mu na czole, pociemniałe oczy z orbit wysakiwały, drgające wargi odsłaniały białe, szpiczaste zęby, ręce zaciskały się kurczowo, jakby coś lub kogoś skruszyć chciały.

Straszny był w tym gniewie swoim, niepodobny zupełnie do spokojnego, eleganckiego, uśmiechniętego pana, który niejednego, mniej wytrawnego fizyognomistę mógł złudzić swoją dobroduszną miną.

Radca biegał po swoim gabinecie jak szalony, kopnął nogą dywan, chwytał i rzucał najrozmaitsze przedmioty, krzycząc przytem ochrypłym głosem:

— Ladacznica! Łajdaczka! Awanturnica! Waryatka! Kij na niej połamię! Uszy poobrywam! Do domu poprawy dam... albo w klasztorze zamknę!...

Niewątpliwem było, że przed żadną z zapowiadanych kar nie cofnąłby się, gdyby tylko miał po temu możność i środki.

— Co ludzie powiedzą?... Co Adela?... Ona tak uważa na opinię! Taki skandal! Taka hańba! Przez policyę sprowadzę do domu waryatów... albo niech ginie... przepada!...

Stobiński, który usunął się na bok, nieco w cień, śledził z pod oka gwałtowne ruchy radcy... To on nowiną swoją, która uprzedziła list z Zalesinek, wprawił Maliniewicza w to niesłychane wzburzenie, które kazało radcy zapomnieć o wszystkich formach spokojnej dystynkcyi.

Z zielonawych oczu Stobińskiego tryskał teraz wyraz jawnej, nieukrywanej pogardy. W przyziemnej, spodlałej duszy tego człowieka zbudziło się teraz coś, jakby nieprzeparty wstręt. Wstręt na widok tego ojca, bez krzty uczucia, który dla swego dziecka, w przepaść może lecącego, nie znalazł w sercu ani jednego drgnienia tkliwego, nic, prócz obelg, przekleństw i złorzeczeń.

Ani jednego słowa niepokoju ojcowskiego: Co z nią będzie?... Co ona robi?... Czy nie stało się jakieś nieszczęście?...

— Taki skandal!... Po gazetach to jeszcze gotowi rozmazać!...

Znowu ciężki. malachitowy przycisk poleciał na ziemię.

— Potwór! — przemknęło Stobińskiemu w myśli.

No, chyba Józia będzie już wolała zostać jego żoną, aniżeli wracać do takiego ojca!

— Pan radca zanadto się irytuje — odezwał się wreszcie głosem, w którym wyraźnie drgały nuty ironii — można sobie zaszkodzić na zdrowiu... zwłaszcza, że pan radca krwisty...

Dźwięk cudzego głosu oprzytomnił Maliniewicza. Przypomniał sobie, że nie jest sam. Zatrzymał się, oparł się ręką o biurko i, dysząc ciężko, milczał chwilę.

— Rzeczywiście, apopleksya może człowieka trafić! — odezwał się wreszcie, ochłonąwszy trochę — ale niech się pan nie dziwi... To przecież córka... i coś podobnego...

Powoli wracało radcy zastanowienie, zdał sobie sprawę z tego, że unosił się zanadto i niepotrzebnymi wykrzyknikami gorzej jeszcze kompromitował Józię wobec Stobińskiego.

A ten Stobiński mógł być właśnie deską ratunku, piorunochronem, odciągającym głośny skandal.

Chociaż bowiem Maliniewicz nie zawahałby się wcale przed tem, by Józię przemocą osadzić w klasztorze lub zamknąć w domu poprawy, nawet w szpitalu dla waryatów, uświadomił sobie jednak, że łatwiej to powiedzieć, aniżeli wykonać.

— Dziewczyna ma ośmnaście lat... Nie da się... Psiakrew, co tu robić?.. Chyba wypędzić na „zbity łeb", ale wtedy ta waryatka gotowa jeszcze zaszargać nazwisko... Nie pozostaje nic — tylko ten Stobiński.

— Uniosłem się trochę — zaczął znowu z jakimś słodkawo-kwaśnym uśmiechem — no, rozumie pan... serce ojcowskie... trwoga... obawa...

— Aha! Już jest serce ojcowskie. — pomyślał Stobiński — Czekajmy dalszego ciągu...

— Pan w swojem opowiadaniu przesadził trochę, sądzę, przejaskrawił, że tak powiem... — mówił radca, nerwowym trochę ruchem zapalając papierosa — Ja się uniosłem, więc rzuciłem może jakieś zbyt gwałtowne słowa, jak to zwykle w gniewie... Tymczasem, tak po trzeźwym namyśle, to ta sprawa przedstawia się nieco inaczej... Trochę niezastanowienia, wybryk romantycznej wyobraźni dziewczęcej, kobiece współczucie dla chorego znajomego... A przytem... Józce widocznie nie dogadzało małżeństwo z tym wiejskim nauczycielem... Walczakowie namówili, a ona nie kochała go... Ja sam nawet myślałem już o tem, żeby zerwać... Mówił pan kiedyś o tym Michniku, że to prostak i hołysz... Miał pan słuszność, panie profesorze..

Maliniewicz umilkł. Czekał, że mu Stobiński jakąś wtrąconą uwagą ułatwi dalsze wyjaśnienia.

Ale „pan profesor" ani myślał pomagać radcy i milczał uparcie.

Maliniewicz nie znajdując żadnej z jego strony zachęty, musiał sam przystąpić do rzeczy. Postanowił, że najlepiej będzie wypowiedzieć swoją myśl odrazu, bez omawiań i długich wstępów.

Poufale, przyjacielsko położył rękę na ramieniu Stobińskiego.

— Wie pan co, kochany panie Aleksandrze — radca nazywał Stobińskiego po imieniu — pan tak bardzo pragnął żenić się z Józką, no, to niech się pan żeni. Dam ją panu!...

Uśmiech tryumfującej złośliwości przemknął po wargach Stobińskiego i w zielonawych oczach jego zapalił migotliwe iskry.

— Teraz, panie radco?

— No i cóż z tego, że teraz?...

— Panie radco, mówmy otwarcie — Stobiński wyprostował swoją drobną, mizerną postać — pan chce, żebym ja mojem nazwiskiem pokrył hm... kompromitacyę panny Józi?...

Radca zdjął rękę z ramienia Stobińskiego i cofnął się trochę zachmurzony.

— Co znowu za kompromitacya?... Czyż to jedna panna zrywa zaręczyny?!... W tem niema nic kompromitującego.. Co zaś do tej trochę ekscentrycznej podróży do Zakopanego, to, gdyby tamten był zdrów, no, nie mówię, wtedy... Ale tak, jak sam pan powiedział, ciężko chory, w sanatoryum... To czyn samarytański poprostu...

— Pan radca przed chwilą jeszcze inaczej sądził...

— Bo byłem zirytowany, podniecony!

— Panie radco! Pan wie, jak ja pannę Józię... że ja dla niej... Otóż, pomimo wszystko i teraz gotów jestem, ale, zważywszy na zmienione warunki...

Maliniewicz spojrzał mu w oczy bystro, przenikliwie...

— Oh, panie kochany! Rozumiem!... Pan masz zamiar żądać posagu... Nic z tego! Nie dam ani grosza! Nie mogę poprostu i koniec! Dla Józki zawsze znajdzie się mąż... Nie trzeba go kupować! Ona na to za piękna!

Uroda była jedyną wartością, którą Maliniewicz uznawał w córce i cenił.

Ojciec Józi i Stobiński mierzyli się przez chwilę wzrokiem, jakby próbując wzajemnie jeden siłę woli drugiego.

Stobiński zrozumiał, że Maliniewicz nie ustąpi, że w bezwzględnym egoizmie swoim zdecyduje się raczej na wszystko inne, niż na to, by ze swego dobrobytu uszczknąć choćby drobną cząstkę.

— Ona jest piękna! — powtórzył jeszcze raz Maliniewicz, podkreślając wyraz piękna. — Szukać w Krakowie takiej drugiej panny!...

Szarpnęło się coś w Stobińskim. Pożądanie zalało go falą dławiącą, przemożną.

— Zgoda, panie radco! — wyrzekł po chwili głosem pewnym i stanowczym. — I dziękuję za córeczkę! — dorzucił z ironicznym uśmiechem.

W milczeniu uścisnęli sobie ręce. Radca miał minę trochę zakłopotaną.

— Ależ tę Józkę trzeba sprowadzić... Ja pojechać nie mam czasu, a przez policyę to jakoś nie bardzo... bo do gazet się dostanie i skandal gotowy!

— Niech pan radca zda to już na mnie! Ja sam pojadę do Zakopanego i sam pannę Józię przywiozę!

— Racya! To do pana należy, jako do narzeczonego... Otóż, w mojem imieniu niech pan Józi powie...

Przerwał, bo w tej chwili zapukał ktoś do drzwi.

— Kto tam?

— Telegram, proszę pana — ozwał się za drzwiami głos służącej. — Posłaniec czeka, żeby pan radca podpisał recepis.

— Telegram? Dawaj prędko! — zawołał Maliniewicz, otwierając drzwi.

Służąca podała recepis i złożony blankiet telegraficzny.

— Skąd to? Z Zakopanego... od...

Maliniewicz szybko podpisał recepis i otworzył telegram. Przeczytał po cichu i odetchnął z głęboką ulgą, jak gdyby stufuntowy ciężar spadł mu z piersi.

— Proszę posłuchać, panie Stobiński, co mi telegrafuje pani Walczakowa!

Nie nazywał go już panem Aleksandrem, ani kochanym panem, ani profesorem, tylko poprostu panem Stobińskim.

— Pani Walczakowa?

Zamiast odpowiedzi Maliniewicz przeczytał zwolna dobitnie, oddzielając i akcentując każde słowo:

„Józia jest ze mną. Wszystko dobrze. Zaręczyła się z Zarnickim. Prosi o pańskie przyzwolenie. Wyjaśnienie w liście.

Aniela Walczakowa."

— No, widzi pan! Potrzebnie mi pan strachu napędził! Józka jest pod opieką pani Walczakowej, której ją przecież sam powierzyłem. A że zmieniła narzeczonego, to już jej rzecz!... Nawet na lepsze, bo ten Zarnicki, to podobno człowiek z przyszłością i majętny...

Stobiński stał oniemiały nagle. Pobladł tak, że zmięta jego cera przybrała jakiś odcień zielonawy.

— Cóż, nie mówiłem panu — ciągnął dalej radca, doskonale dobrodusznym tonem i uśmiechem maskując zadowoloną złośliwość — że dla Józki o męża nietrudno! Szelma dziewczyna, ma szczęście!

ROZDZIAŁ XV.

Z pamiętnika Kornelii Witowtówny.

25. września.

Co ja zrobiłam! Co ja zrobiłam!... Obym tam była nigdy nie jechała! Tak się zdradzić, tak głupio zdradzić... Kobiecie, rywalce pokazać cały ból... całą rozpacz!... To pali!

Co ja mówię, rywalce... Czyż ja mogę rywalizować z taką Helą, czy wogóle z jakąkolwiek przystojną kobietą?... Można mnie tylko wyśmiać.. wyszydzić... A jednak ona nie śmiała się...

30. września.

Jak on na nią patrzył... Nigdy tak ani na Lilę Skirmuntównę, ani na Warewiczównę, nawet na tę prześliczną Niusię, za którą „szalał" przez kilka miesięcy... Wiłam się wtedy z bólu, szarpałam zazdrością, a jednak to było co innego...

Teraz wiem... Tak patrzy mężczyzna tylko na kobietę wybraną!...

Gdyby on tak raz na mnie!... A potem, niechby się choć ziemia podemną zapadła!...

2. października.

Co właściwie znaczyły te słowa Heli przy pożegnaniu: „Pamiętaj, Kornelko, że ja nigdy, nigdy!" I tak dziwnie spojrzała na mnie, z taką litością... Czyżby powiedzieć chciała, że, jak jałmużnę przebogatą składa mi w ofierze własną miłość, własne szczęście, bo i ona kocha go...

Kto wie... Hela jest szlachetna i bardzo przeczulona...

Ale nie chcę jej jałmużny, ani litości!...

3. października.

W takim razie zatrułabym, zburzyłabym ich szczęście, a co mnie z tego przyjdzie?...

5. października.

Ludwik kocha Helę... Jeżeli ona odtrąci go, to będzie cierpiał, jak ja... A gdyby kiedy dowiedział się, że to przezemnie, znienawidzi mnie!... Nie, nie! Wszystko, byle nie to!... Niechaj będzie obojętność, lekceważenie, tylko nie nienawiść!...

6. października.

A może ona powiedziała mu i teraz oboje śmieją się, drwią z „poczwary", której zamarzyło kochać się...

Chyba nie... To byłoby podłe, a Hela podłą nie jest... Może nawet zanadto... Może nawet głupio szlachetna...

8. października.

Gdyby tak czemś udowodnić Heli, że się omyliła, że to był tylko atak nerwowy... ale czem?...

10. października.

Muszę zająć myśli czemś innem, bo jak tak ciągle o tem jednem myśleć będę, to mogę dojść do obłędu! Już i tak zdaje mi się, żem kilka razy na ulicy mówiła sama do siebie... Ludzie patrzyli na mnie, jak na waryatkę... Tego mi tylko brakuje!

Trzeba się trzymać!... Ja muszę mieć siłę i energię do pracy, bo któż na mnie zarabiał będzie? Nie wolno mi zapominać, że idę przez życie sama — przebojem!

15. października.

Czytam dużo... nawet dzienniki od deski do deski, od wstępnego artykułu do ogłoszeń... Próbuję interesować się więcej życiem, które mnie otacza, objęłam dyżury w ochronce dla sierót po żołnierzach... Nie pomaga... Tak mi zimno, pusto, samotnie...

17. października.

Czytałam w dziennikach, że wyłowiono z Wisły trupa młodej dziewczyny, która z mostu rzuciła się do wody... W taką zimną, wietrzną deszczową noc skoczyła do Wisły i koniec... Żołnierz, który pilnował mostu, widział, ale nie zdążył już przeszkodzić, ani uratować... I dobrze się stało, bo po co przeszkadzać, jeżeli ktoś chce skończyć?...

Powodem miała być miłość bez wzajemności... Więc i ładne kobiety mogą kochać bez wzajemności, bo to podobno była bardzo ładna dziewczyna... Ciągle o niej myślę...

A jednak, żeby tak skończyć, trzeba mieć albo bardzo dużo odwagi, albo być wielkim tchórzem... A ja... ani jedno, ani drugie... Nie chciałabym zresztą ani za życia, ani po śmierci iść na żer sensacyi. Trzeba więc żyć... trzeba jakoś żyć...

(Ciąg dalszy nastąpi)

Legiony na przełomie.

Legiony polskie, które w dwuletnich bojach okryły się bohaterską sławą, przechodzą obecnie okres przejściowy. Rozmieszczone w różnych miejscowościach Królestwa Polskiego, oczekują z upragnieniem tej chwili, gdy staną się kadrami mającej utworzyć się armii polskiej. Sprawa oddania Legionów Tymczasowej Radzie Stanu jest obecnie przedmiotem konferencyi pomiędzy rządem austryackim i niemieckim, a w oczekiwaniu jej rozstrzygnięcia w myśl życzeń narodu polskiego — Legiony przystąpiły do gorączkowej pracy organizacyjnej, aby przygotować się należycie do zadań, jakie mają spełnić przy tworzeniu armii polskiej.

O tej pracy przygotowawczej, jaka wre obecnie w Legionach, pisaliśmy już obszernie w jednym z poprzednich numerów. Dziś zamieszczamy kilka zdjęć z życia Legionistów w obecnym przełomowym momencie na terenie Królestwa Polskiego. Podajemy mianowicie fotografie z drugiego pułku ułanów, którzy, jak widzimy na jednej fotografii, otrzymali obecnie nowe uzbrojenie — lance z chorągiewkami o barwach narodowych.

Szkoła pracy dla młodzieży.

Księża Misyonarze w Nowej Wsi, pragnąc w duchu księcia-biskupa Sapiehy zająć się młodzieżą poza godzinami szkolnemi, urządzili kurs Ligi Pomocy Przemysłowej w realności S. S. Miłosierdzia, przy ulicy Kazimierza Wielkiego, w lokalu ochronki.

Zamknięcie kursu nastąpiło 26. marca bieżącego roku. Na uroczystość przybył p. prezydent Ignacy Dembowski, p. Madejska, p. Bujnowska i p. Chmielarczyk z Zarządu Ligi Pomocy Przemysłowej. — Ks. J. Dihm, Superyor Ks. Ks. Misyonarzy powitał p. prezydenta i gości, dziękując Lidze, że przyszła miejscowemu Komitetowi z pomocą, aby pożytecznie zająć młodzież szkolną poza godzinami szkolnemi. P. prezydent Dembowski w dłuższem przemówieniu podniósł zalety Ligi Pomocy Przemysłowej, starającej się o podniesienie przemysłu domowego, poczem rozdał nagrody i świadectwa. Przeszło czterdzieści dziewcząt brało udział w kursie ozdób na drzewko i guzikarstwa. Z ramienia Ligi uczyli p. Rozkosz i p. Wilkoszówna, a z jakim pożytkiem, świadczyła wystawa prac uczenic, wzbudzająca ogólny podziw i zainteresowanie zebranych.



Z frontów bojowych: Patrol austryacki na wschodnim froncie, skradający się pod pozycye nieprzyjacielskie.

Od 1. kwietnia bieżącego roku obecna szkoła Ligi Pomocy Przemysłowej zamienia się w pracownię, gdzie te same uczenice będą pracować dla sklepu Ligi.

W ten sposób młodzież znalazła sposobność obrócenia wolnych chwil na zajęcie pożyteczne, przynoszące jej nadto dochód, co w dzisiejszych ciężkich czasach nie jest bez znaczenia. Życzyćby sobie należało, by i inne przedmieścia i gminy przyłączone, wchodzące w skład Wielkiego Krakowa, poszły w ślad Nowej Wsi.

Inicyatorom kursu i jego kierownikom należy się głęboka wdzięczność i podzięka całego społeczeństwa.

Polacy-lotnicy.

W jednym z ostatnich numerów pisaliśmy o bohaterskiej walce, jaką na froncie południowym stoczył w przestworzach powietrznych młodziutki porucznik-lotnik, hr. Wilhelm Siemieński, który, osaczony przez samoloty włoskie, ciężko ranny uległ przewadze nieprzyjaciela.

Nie jest to odosobniony fakt bohaterstwa wśród Polaków, poświęcających się służbie lotniczej w obecnej wojnie.

Biuletyn rosyjski urzędowy wspomniał świeżo



Legiony na przełomie: Pierwszy pluton piątego szwadronu drugiego pułku ułanów w Starej Wsi pod Warszawą.





Legiony na przełomie:
Drugi szwadron drugiego pułku ułanów w Mińsku Mazowieckim. Piąty szwadron drugiego pułku ułanów przy menaży w Starej Wsi pod Warszawą.

o walce, jaką stoczył Polak, lotnik Kazimierz Schmidt, porucznik 13 pułku ułanów. z kapitanem rosyjskim, Watalowskim, w okolicy Rudni i, Poczajowa i otrzymawszy „pełny strzał" w aparat, musiał wylądować obok stacyi Rudni, odległej o 28 kilometrów od Poczajowa, gdzie, według relacyi biuletynu, wraz z pilotem dostał się do niewoli.

Młodziutki, bo 21 lat liczący porucznik Kazimierz Schmidt walczył od wybuchu wojny, początkowo jako ułan na froncie wołyńskim, gdzie, jako odznaczenie, otrzymał medal waleczności II. klasy. Od listopada 1915 roku rozpoczął swą rycerską działalność jako lotnik, zestrzelił cztery samoloty rosyjskie i otrzymał za bohaterstwo ponowne odznaczenie, srebrny medal waleczności I. klasy.

W sierpniu 1916 roku stoczył walkę na froncie wołyńskim naraz z dwoma samolotami rosyjskimi, w bardzo ciężkich jednak znalazł się warunkach — bo w krytycznej chwili karabin maszynowy wypowiedział mu posłuszeństwo. Porucznik Schmidt nie traci równowagi i, ująwszy ręczny karabin, celnym strzałem przebija zbiornik benzynowy atakującego go aparatu rosyjskiego i powoduje jego eksplozyę, co widząc, drugi nieprzyjacielski lotnik uchodzi z przestworza walki.

Obserwująca walkę powietrzną artylerya, znajdująca się po obydwu stronach frontu, hukiem dział zaznaczyła żywo swą działalność w walce z samolotami, a gdy wylądował porucznik Schmidt, naliczono w jego aparacie przeszło dwieście pocisków szrapnelowych. Nie ominęła też młodego bohatera nagroda za waleczność, bo otrzymał trzecie odznaczenie, złoty medal waleczności.

W sierpniu 1916 roku mianowany porucznikiem, stacza we wrześniu walkę na Wołyniu z aparatem nieprzyjacielskim, systemu Fahrmana i zestrzela go, otrzymując czwarte odznaczenie: krzyż zasługi z dekoracyą wojenną i mieczami. Jesienny, słoneczny dzień 25. listopada zachęca porucznika Schmidta do obserwacyjnego wzlotu, który podejmuje jako ochotnik. Aparat, przepłynąwszy ponad rosyjski teren, zwabia nieprzyjacielskie aparaty. Rozpoczyna nasz bohater walkę z osaczającą go eskadrą powietrzną, wobec której ulega przemocy, a zniszczony celnymi strzałami aparat zmusza go do wylądowania, gdzie wraz z pilotem ujęto go w niewolę. Walka ta trwała pół godziny.

Tak porucznik hr. Siemieński, jak i porucznik Schmidt należą do tego samego pułku.



Z frontów bojowych: Austryackie zasieki z drutu kolczastego na galicyjskim froncie.

Z frontów bojowych.

Jak dotychczas, nie zauważono oddziałania rewolucyi rosyjskiej na front bojowy. Słyszano wprawdzie w różnych jego punktach gromkie: „Hurra!" i od czasu do czasu przygrywkę kapeli, nawet salwy na znak radości, ale też na tem koniec. Widocznie dowódcy dokładają usilnych starań, by tłumić wyraźniejsze objawy.

Większej akcyi nie było tymi czasy nigdzie na froncie wschodnim. Nawrotem mrozów i śnieżycy zastój ten uzasadniony jest dostatecznie. Na północ od Prypeci dochodziły mrozy do —21° C; na Wołyniu i w Galicyi utrzymywały się około granicy





Kurs guzikarstwa Ligi Pomocy Przemysłowej w Nowej Wsi. **Szkoła pracy dla młodzieży:** Wystawa prac uczenic kursu Ligi Pomocy Przem. w Nowej Wsi.
(Fot. ks. St. Leśniowski).

—15° C. W Karpatach szalała śnieżyca przy temperaturze —18° C. W takich warunkach trudno chyba myśleć o jakichkolwiek na szerszą skalę operacyach. W każdym razie wojska sprzymierzeńców nie zasypiały gruszek w popiele. Pomimo przeciwności aury krążyły nieustannie rekonesanse, badając, co dzieje się u nieprzyjaciela, często gęsto zaś mniejszą



Polacy-lotnicy: Lotnik Kazimierz Schmidt, porucznik 13. pułku ułanów.

lub większą garstkę jeńca przyprowadzając z sobą do obozu.

W odcinku, pozostającym pod wodzą ks. Leopolda Bawarskiego, służba wywiadowcza okazywała wielką nawet ruchliwość. Tu drobne, a zręcznie przeprowadzone ataki doprowadziły do wzięcia wcale pokaźnej liczby jeńców i zagarnięcia sutej zdobyczy. Udało się nieprzyjaciela zaskoczyć niespodzianie raz i drugi i zalać mu gorącego sadła za skórę.



Szkoła pracy dla młodzieży: Zakończenie kursu Ligi Pomocy Przemysłowej w Nowej Wsi. 1) Prezyd. Ignacy Dembowski, 2 ks. J. Dihm, syperyor księży Misyonarzy, 3) kierowniczka kursu p. Wilkoszówna, 4) kierownik kursu p. T Rozkosz. (Fot. ks. St. Leśniowski).

Na szczególniejsze podniesienie zasługuje akcya pod Brzeżanami. Tutaj wojska sprzymierzone wpadły do silnie zbudowanych okopów nieprzyjacielskich i, poprzedzone ogniowym gradem pocisków artyleryjskich, błyskawicznym szturmem zdobyły pozycyę nieprzyjacielską. Zanim nieprzyjaciel mógł zoryentować się, zniszczyły ją do szczętu. Polała się przytem znowu obficie krew rosyjska. Pozatem 2 oficerów i 256 żołnierzy wzięto do niewoli, razem zaś z jeńcem wpadły w ręce zwycięzcy 2 miotacze min i 7 karabinów maszynowych.

Również w odcinku na północ od kolei Złoczów-Tarnopol podobne przedsięwzięcie uwieńczone zostało niemniej pomyślnym skutkiem. Tam wynikiem starcia było wzięcie do niewoli 3 oficerów i 320 żołnierzy rosyjskich, jakoteż zdobycie 13 karabinów maszynowych i 5 miotaczy min.

Godzi się zapisać dalej sukces pod Sołotwiną, gdzie austro węgierski oddział wywiadowczy dotarł aż do drugiej linii nieprzyjacielskich okopów, przyprawiając Rosyan o ciężkie straty i zabierając im 80 ludzi do niewoli. Jako szczegół charakterystyczny podnosi sprawozdanie, iż atakujący żadnych strat nie ponieśli, mieli po swej stronie zaledwie 5 rannych i to lekko.

Mniejszych przedsięwzięć tego rodzaju było na froncie rosyjskim bardzo wiele, a wszystkie bez wyjątku dały dodatni dla sprzymierzeńców wynik.



Legiony na przełomie: Piąty szwadron drugiego pułku ułanów w Starej Wsi pod Warszawą.



Dzieci dla dzieci: Przedstawienie „Ślubów Hajmburskich“ Zielińskiej, urządzone przez Ligę Kobiet w Tarnowie.

Natomiast ruchliwość rosyjskiej służby wywiadowczej bardzo podupadła. Nad Naraiówką próbował nieprzyjaciel zapomocą bomb gazowych i min przygotować atak kilku kompanii. Cała impreza spełzła na niczem. — Napad gazowy nie udał się — fale trujących oparów wiatr wpędził na spieszące do ataku wojska rosyjskie, które też jak niepyszne czemprędzej musiały ocalenia szukać w odwrocie.

Na zachodnim froncie wojska wciąż jeszcze są w ruchu. Linia frontu nie ustaliła się dotąd, nie wyrównała w najkorzystniejsze pozycye. — Francuzi i Anglicy posuwają się zwolna ku wschodowi i północnemu wschodowi, badając ostrożnie, jak daleko naprzód posunąć się będzie można. Wojska niemieckie, osłaniające koncentracyę wsteczną ogółu armii, unikać muszą sytuacyi niebezpiecznych, jakie nastręcza walka ruchowa, gdzie co chwila wyłonić się może niebezpieczeństwo o krzydlenia przez przeważające nieprzyjacielskie siły. Stąd zawczasu trzeba usuwać się dalej z zagrożonych pozycyi. Nie wiadomo, jak daleko w planach naczelnego kierownictwa armii niemieckiej zamierzony jest odwrót, na jakich nowych oprze się naturalnych liniach i jakie punkty obronne, które w dotychczasowym toku wojny odgrywały rolę, brać będzie w rachubę. Najboleśniejszą jest ta zagadka oczywiście dla nieprzyjacielskich sztabów, którym dobrowolny odwrót niemiecki ze stanowisk, bronionych zaciekle szereg miesięcy, pomieszał całkowicie wszelkie ofenzywne plany i generalną ofenzywę koalicyi, wedle wyznań publicystów francuskich, odsunął co najmniej o trzy miesiące.

Strategiczny odwrót wojsk niemieckich na froncie nad Sommą i Aisną był uchyleniem się od bitwy, która zapowiadała się jako najkrwawsza i najbardziej zapamiętała ze wszystkich bitw, stoczonych w dotychczasowym przebiegu wojny światowej. Na teren rozstrzygającej walki wybrały zjednoczone sztaby, angielski i francuski, raz jeszcze obszar, w którym się zwierały fronty obu połączonych armii. Zarówno Francuzi, jak Anglicy, którzy stykali się na tym terenie, mogli tu rzucać do boju wszystkie swoje wolne rezerwy. W dotychczasowych bitwach nad Sommą wprzągano już do walki wszystkie rozporządzalne siły obu sprzymierzeńców. Dotychczasowe bitwy wszakże nie wydały oczekiwanego rezultatu. Niemcy potrafili się ostać na swoich stanowiskach, dzięki olbrzymiej sile artyleryi. Każda nowa bitwa nad Sommą wzmagała tedy po nieprzyjacielskiej stronie cały aparat techniczny, który doszedł wreszcie do rozmiarów potwornych. Na krótkim stosunkowo froncie skoncentrowana była cała artylerya angielska i przeważna część artyleryi francuskiej. Wszystkie aparaty lotnicze angielskie i przeważna liczba francuskich również na tym odcinku pełniły służbę wywiadowczą, a nawet, z pomocą karabinów maszynowych i granatów, bezpośredni brały udział w walce z piechotą niemiecką w rowach strzeleckich. Na krótkim wreszcie, trzydziestokilometrowym froncie, naprzeciwko pięciu dywizyi niemieckich, stanęła, wedle słów pruskiego ministra wojny, generała Steina, cała armia angielska w sile około trzech milionów ludzi. Takie były przygotowania po stronie francusko-angielskiej, zmierzające do tego, aby na tym odcinku rozstrzygnięcie wymusić i z pomocą całego olbrzymiego aparatu wojennego obu narodów, wprawionego w ruch na tej przestrzeni, osiągnąć zwycięstwo.

Przygotowana z takim wysiłkiem wielka bitwa na zachodzie wydrzeć miała Niemcom inicyatywę, którą dotąd zawsze w swojem dzierżyli ręku i oddać ją wreszcie w ręce koalicyi. Strategiczny odwrót niemiecki jednem pociągnięciem pokrzyżował wszystkie te daleko idące plany.



Z frontów bojowych: Ustawianie przeszkód z drutu kolczastego na zaśnieżonym terenie przed stanowiskiem piechoty.



Dzieci dla dzieci: Młodociani wykonawcy przedstawienia, urządzonego przez Ligę Kobiet w Tarnowie („Dla Ojczyzny“ Krysakowskiego).

Dzieci dla dzieci.

W Tarnowie odbyło się przedstawienie amatorskie „Dzieci dla dzieci“ na dochód Ligi Kobiet, w skład którego wchodziły dwie sztuczki pod tytułem „Śluby Hajmburskie“ Zielińskiej i „Dla Ojczyzny“ Krysakowskiego, oraz dwie deklamacye. Dzięki pełnym poświęcenia staraniom p. Maryi hr. Wodzickiej, która przy dzielnej pomocy nauczyciela szkół tamtejszych, p. Balinowskiego, doskonale przygotowała młodocianych artystów, wieczór udał się znakomicie; szczególniej sztuczka o patryotycznej, bardzo na czasie tendencyi, odegrana przez młodzież szkół średnich, podobała się tłumnie zebranej publiczności, a entuzyazm młodych Legionistów udzielił się w pełni audytoryum. Na prośby publiczności powtórzono przedstawienie trzy razy.

Zamieszczone w niniejszym numerze ryciny odtwarzają dwa żywe obrazy, ułożone na zakończenie wieczoru z obu sztuczek.

A. R. Green

Zbrodnia w „Białym Domku"

Tłumaczyła: **Marya Segeny.**

9

— Więc jest i drugi oskarżony?

— Jest.

— Działali może wspólnie?

— Wykluczone. Ci ludzie się nawet nie znają.

I Byrd opowiedział szczegółowo fakta, rzucające podejrzenie na osobę Cyryla Morgan, a fakta te, jak wiadomo, były natury bardzo obciążającej

Nigdy jeszcze, przez całe długie lata swojego urzędowania, pan Ferris nie znajdował się w tak dziwnem i kłopotliwem położeniu.

— Panowie — wyrzekł po długiej chwili milczenia — nie będę przed wami ukrywał, że wiadomości przez was przynies one są najwyższej wagi. Należy jednak nad tem wszystkiem zastanowić się na zimno i nie działać lekkomyślnie. Powróćcie do mnie jutro, a powiem wam o postanowieniu, jakie w tym kierunku powziąłem.

Nazajutrz, kiedy obaj detektywi stawili się w jego gabinecie, pan Ferris odezwał się do nich w te słowa:

— Zastanawiałem się głęboko noc całą nad faktami, które przez was, moi panowie, doszły do mojej wiadomości, a które w równej mierze oskarżają pana Cyryla Morgan, jak i pana Gordona Hildretn. Otóż, rezultat mojej refleksyi jest ten, że dowody obciążające siostrzeńca pani Clemmens wykazują brak poważny, co nie ma miejsca w zastosowaniu ich do osoby obecnego oskarżonego.

Wiadomo panom zapewne, że wdowa Clemmens, po napadzie już, w chwili odzyskanej przytomności umysłu wymówiła pewne słowa, mogące być wskazówką dla nas. Powtarzała bezustannie: „ręka, pierścień", tak, jak gdyby wpoić chciała w obecnych przekonanie, że ten, który ją zamordował, nosił pierścień na palcu. Aby się uspokoić co do tego punktu, zaaranżowałem dziś rano próbę w Białym Domku, która powinna była mnie dostatecznie objaśnić. Stanąłem w jadalnym pokoju przed zegarem pani Clemmens w tej pozycyi, w jakiej była zapewne zmarła w chwili dokonanego na nią napadu, poprosiłem mojego pisarza, aby wziął polano drzewa i zasymulował gest uderzenia mnie z tyłu. W chwili, kiedy opuszczał ramię, odwróciłem lekko głowę i zdałem sobie sprawę, że jedyną częścią widzialną jego ciała w tej pozycyi była ręka. Otrzymałem również bardzo jasne wrażenie z błysku pierścienia, który mu kazałem wsunąć na palec. Pan Hildreth, jak nam już wiadomo, miał zwyczaj nosić na palcu pierścień herbowy. Sam uznał ten fakt za kompromitujący, bo widziano, jak w sali, podczas rozprawy, pierścień ten ściągnął z ręki. Czy panowie przekonali się, że fakt ten dotyczyć również może pana Morgan?

Hickory wzruszył lekko ramionami z miną zawstydzoną i niezadowoloną.

— Pan prokurator, o ile mi się zdaje, zapomina o pierścieniu, znalezionym przezemnie w jadalnym pokoju pani Clemmens? — zauważył Byrd.

— Wcale nie! — odparł trochę gwałtownie pan Ferris — Ale miss Beatrycza Darnell oznajmiła kategorycznie, że ten pierścień do niej należy, a ja nie mam powodu wątpić w jej słowa. Jeżeli mnie pan potrafi przekonać, że pan Morgan miał ten pierścień na palcu, kiedy wchodził do Białego Domku, co zresztą nie jest jeszcze dowiedzione, to może zmienię dotychczasowe przekonanie. Dotąd jednak uważam stanowczo pana Gordona Hildretha za mordercę pani Clemmens.

Byrd, który nie chciał jeszcze wyjawić prokuratorowi zajścia w szopie węglarzy, nie nalegał więcej. Wiedząc jednak, że Hickory gorąco pragnął wykazać i poprzeć siłę swoich argumentów — spojrzał na niego z zaniepokojeniem, obawiając się, że się zdradzi. Ale detektyw, dotrzymując danego przyrzeczenia, nie wymówił słowa.

Obydwaj zabierali się już do odejścia, kiedy zapukano do drzwi. Do gabinetu wszedł policyant i podał list prokuratorowi. Ta mała przerwa pozwoliła Byrdowi zamienić z Hickorym kilka słów na osobności.

— Co pan myśli o rozumowaniu prokuratora? — zapytał przyciszonym głosem.

— Zdaje mi się, że on ma słuszność.

— Ale zachowanie się miss Darnell? Jej słowa?

— Widocznie uważa Morgana za winnego. Ale to jeszcze nie dowód, żeby się nie myliła.

Musieli przerwać rozmowę, bo prokurator, ukończywszy czytanie listu, zwrócił się do nich, mówiąc z żywem roztargnieniem:

— Doprawdy, tą dziwną sprawą kieruje jakiś niewytłumaczony zbieg okoliczności. Zaledwie wypowiedziałem swoje zdanie o braku pewnych dowodów względem nowego oskarżonego, a już ktoś usłużny brak ten chce wypełnić. Czytajcie panowie! — mówiąc to, podał Byrdowi list, zawierający następujące słowa:

— Jeżeli pan Ferris chce poznać prawdę, jeżeli uznaje, że pozory są czasem bardzo mylne, to niech zapyta miss Beatryczą Darnell, dlaczego uznała za swoją własność pierścień, znaleziony w jadalnym pokoju Białego Domku.

— No i cóż panowie na to mówicie? — zapytał prokurator, bystro patrząc na detektywów.

— To robota tej starej Sally Perkins. — zaopiniował niechętnie Hickory.

— Oczywiście. — potwierdził Byrd z pewną ulgą. — Ta stara czarownica niecierpliwi się powolnością policyi.

Ale pan Ferris nie był tego zdania.

— To nie są wyrażenia kobiety z ludu. — rzekł, głęboko zamyślony — Zresztą, skąd wiedziałaby o wypadku z tym pierścieniem? Osoby, będące świadkami tego zajścia, nie należą do tych, które plotkować lubią bezcelowo.

— A więc. zdaniem pana prokuratora, kto może być autorem tego listu? — zapytał Byrd.

— Właśnie liczyłem na to, że pan mi tę zagadkę wytłumaczy.

Nagle Hickory ujął list, porzucony na biurku i przeczytał go raz jeszcze uważnie.

— Zdaje mi się — zawołał uradowany — że wiem, przez kogo ten anonim napisanym został.

— Doprawdy? Któż to jest?

Detektyw nie odpowiedział, tylko wskazał palcem nazwisko, wymienione w liście.

— Przez miss Darnell? — zawołał z niedowierzaniem pan Ferris.

— Tak jest, przez miss Darnell — przyświadczył pewnym głosem Hickory.

— Co pana naprowadziło na to odkrycie?

— Miałem już w rękach listy miss Darnell i mogłem zaobserwować sposób, w jaki nakreśla swoje imię. W tym wypadku bardzo zręcznie zmieniła pismo, ale zdradziła się, pisząc imię swoje „Beatrycza". Proszę, niech pan prokurator zechce porównać — dodał Hickory, wyciągając z portfelu ćwiartkę papieru, na której skreślonych było kilka wyrazów wraz z podpisem „Beatrycza".

Podobieństwo uderzało w oczy. Pomimo nieprawdopodobieństwa tego faktu, prokurator i Byrd musieli przyznać słuszność wywodom detektywa.

— Ciekawa rzecz! — szepnął pan Ferris, zamyślając się. — Sprawa, zamiast się wyjaśniać, zaciemnia się coraz bardziej.

Ale Byrd i Hickory nie podzielali zdania prokuratora. Przypuszczali, że młoda dziewczyna chwyciła się tego środka, doprowadzona do ostateczności wyrzutami sumienia i śmiertelnym niepokojem o Gordona Hildretha, niesłusznie oskarżonego, a o którego usiłowanem samobójstwie musiała się dowiedzieć z miejscowych dzienników.

Kryzys.

Od dnia, w którym pani Clemmens zginęła tak tragiczną śmiercią, adwokat Ormond nie zaznał ani chwili spokoju. Dnie całe trawił na rozmyślaniu nad szczególnem zachowaniem się Beatryczy Darnell, którego absolutnie zrozumieć nie mógł. Wyjaśnienia, jakie mu w tym względzie dała młoda dziewczyna, nie zadowoliły go zupełnie.

— Ten pierścień!... Szczególniej ten pierścień — myślał. — Jakiż powód popchnął ją do powiedzenia, że jest jej własnością?!

Pan Ormond, dręczony i coraz bardziej niespokojny, postanawiał kilkakrotnie rozmówić się otwarcie ze swoją pupilką. Wolał najgorszą ostateczność od tego drażniącego stanu niepewności i braku obopólnego zaufania, stawiającego coraz większy rozdział pomiędzy nimi.

Beatrycza jednakże stawała się z dniem każdym mniej skłonna do zwierzeń, unikała nawet spotkania z nim, jak gdyby w obawie, że będzie zmuszoną podzielić się silnymi niepokojami, jakie ją dręczyły.

Nieobecność młodej dziewczyny w dniu burzy podnieciła jeszcze rozdrażnienie pana Ormond. Spostrzegł w niej bowiem od tej chwili objawy jakiejś gorączkowej niecierpliwości, tak, jak gdyby była w bezustannem oczekiwaniu ważnej bardzo dla siebie wiadomości.

W ów wieczór usiłowanego samobójstwa Gordona Hildretha Ormond wszedł do pokoju, w którym znajdowała się miss Darnell.

— Przynoszę wiadomość, która zapewne zainteresuje cię, Beatryczo — rzekł z punktu. — Morderca pani Clemmens powiesił się dzisiaj.

Twarz młodej dziewczyny przybrała trupi odcień, i ręce jej zacisnęły się kurczowo na poręczy fotelu, w którym siedziała. Ale ani jedno słowo nie wybiegło z jej ust pobladłych. Można było powiedzieć, że spodziewała się czegoś podobnego.

Uczucie gorzkiej zazdrości przeszyło serce pana Ormond.

— Wiadomość ta, jak widzę, nie zaskoczyła cię wcale — rzekł zduszonym głosem. — Wiedziałaś więc wszystko, co się tyczyło tego człowieka? Kochałaś go może?

Ale na te pytania nie było żadnej odpowiedzi. Pan Ormond rozpaczliwym ruchem ujął głowę w dłonie. Czuł jakiś ogień, rozsadzający mu czaszkę.

— Odpowiedz, Beatryczo! — podjął po chwili, nie mogąc zapanować nad wzruszeniem. — Czy znałaś tego Gordona Hildretha?

— Gordona Hildretha? — powtórzyła młoda dziewczyna ze zdumieniem. — Pan mówił o Gordonie Hildreth? Nie, nie! To niemożliwe! Prawda, że to niemożliwe, żeby on sobie życie odbierał? To musi być pomyłka!

Gorzki uśmiech wykrzywił twarz adwokata.

— A o kimże chciałaś, żebym mówił? — zawołał brutalnie. — Kogóż to innego oskarżają o zamordowanie pani Clemmens? Co się z tobą dzieje, Beatryczo? Czyś zmysły straciła?

— Tak, tak! Jestem szalona! — zawołała młoda dziewczyna, odwracając głowę. — Niech pan nie zwraca uwagi na moje słowa! Kiedyż to się stało?

Ale zanim pan Ormond mógł odpowiedzieć na to pytanie, zwróciła ku niemu twarz, zmienioną rozpaczliwą grozą i wyszeptała zamierającym głosem:

— Czy... czy on umarł?

— Nie, nie umarł — brzmiała twarda odpowiedź. — Przeniesiono go do szpitala w stanie bardzo poważnym, ale mówią, że żyć będzie.

— Dzięki Bogu, dzięki Bogu! — powtórzyła dwukrotnie miss Darnell.

Po chwili milczenia nagle wstała z fotelu.

— Co ci jest, Beatryczo? — zapytał pan Ormond, przestraszony dzikim wyrazem postanowienia, który objął jej rysy. — Czy chora jesteś? Gdzie chcesz się teraz udać?

— Proszę mnie o to nie pytać, bo nie umiałabym panu na to odpowiedzieć. To, co teraz uczynić muszę, nie ma nazwy w żadnym języku. Co zaś do pana, mój kuzynie, staraj się uczynić wszystko możliwe, aby panu Hildreth jak najspieszniej wolność przywrócić. On nie popełnił tej zbrodni, o którą go oskarżają. Jest niewinny i nie mógł przenieść okropnego oskarżenia, jakie na niego spadło. Jeżeli umrze, a stać się to może, jeżeli mu nie zwrócą wolności, to stanie się rzecz straszna, hańbiąca, zbrodnia, za którą inni odpowiedzą!

— Alež, Beatryczo!

— Ah! Niechże pan nie dyskutuje teraz ze mną! Tu chodzi o śmierć lub życie, rozumie pan? — zawołała gorączkowo młoda dziewczyna. — Wiem, co mi pan na to odpowie, jakich argumentów użyje, aby mnie przekonać, że to rzecz niemożliwa, że niema sposobu na uwolnienie oskarżonego, którego niewinność nie jest poparta dowodami, że musi być jawnie wykazaną. Ale dla adwokata z pana inteligencyą niema rzeczy niemożliwych. Muszą się do tego znaleźć środki! Niech pan użyje swojej władzy, swojej powagi, co pan chce! W zamian zaś...

Tu młoda dziewczyna przerwała, długiem spojrzeniem obejmując pana Ormond, który w tej samej chwili znalazł się blisko niej.

— W zamian zaś?... — powtórzył, gwałtownie ujmując jej ręce. — Dlaczego nie kończysz, Beatryczo? W zamian zaś?...

— Przystanę na to, czego pan żądał odemnie — odpowiedziała miss Darnell zmęczonym głosem.

— Więc będziesz moją żoną?

— Tak... o ile nie umrę przedtem jeszcze.

Pan Ormond cofnął się, jak gdyby otrzymał policzek.

— Więc do tego stopnia kochasz tego człowieka, że chcesz się sprzedać w zamian za jego życie? — zapytał z gorzką wymówką w głosie.

Beatrycza podniosła gwałtownie głowę, chcąc wyrzucić oburzone „nie!", cisnące jej się przez usta, lecz zdołała się opanować i powstrzymać od wymówienia tego słowa.

— Nie mogę panu na to odpowiedzieć — odrzekła stanowczo.

Pan Ormond, czując już teraz po swojej stronie zwycięstwo, nie chciał się zadowolić tą odpowiedzią.

— Żądam jasnego wytłumaczenia, Beatryczo — rzekł rozkazująco. — Mam prawo poznać uczucia twoje i zachować się stosownie do nich. Tak, czy nie? Kochasz Gordona Hildreth? Odpowiadaj szczerze!

— A jeżeli nie zechcę?

— Przysięgam w takim razie, że nic nie uczynię dla niego ani teraz, ani później, choćby najwięcej potrzebował mojej pomocy!

Groźba ta, wypowiedziana ostrym głosem, musiała wywołać bunt u natury tak dumnej, jaką była Beatrycza.

— A gdyby tak było? — zawołała, mierząc go wyzywającem spojrzeniem. — Czy mógłby się pan temu dziwić? Młodość przyciąga się wzajemnie, mój kuzynie, zdajesz się o tem zapominać. Nie zmuszaj mnie teraz powiedzieć ci więcej jeszcze!

— To było by niepotrzebne, Beatryczo! Powiedziałaś już dosyć! Już teraz rozumiem wszystko... Trwogi twoje, niepokoje, zachowanie się twoje dziwne!... Człowiek, którego kochasz, był w niebezpieczeństwie, nie wiedziałaś, jakim sposobem przyjść mu z pomocą! Bardzo mi przykro, przez wzgląd na ciebie, ale w tych warunkach interweniować nie mogę! Nic nie może ocalić pana Gordona Hildreth, tylko dowód niezbity jego niewinności... lub też dowiedziona wina innej osoby!

— To pana ostatnie słowo? Nie mogę mieć żadnej nadziei? — zapytała twardo młoda dziewczyna.

— Nie widzę jej wcale — odpowiedział pan Ormond, wychodząc z pokoju bez słowa pożegnania.

W pół godziny później, podczas kiedy adwokat usiłował uspokoić nerwy przeglądaniem stosu aktów, przyniesiono mu list tej treści:

„Mój Przyjacielu! Nie mogę pozostać dłużej pod Twoim dachem. Obowiązek, który mam do spełnienia, odbiera mi na zawsze prawo do pana przyjaźni i opieki. Kiedy będziesz czytał te słowa, będę już daleko. Nie staraj się za mną podążyć, bo będzie to bezowocne zupełnie. Życzę Panu, abyś zapomniał jak najprędzej o istocie, która, w zamian za Twoje dobrodziejstwa, wynagrodziła Cię cierpieniem, równie głębokiem, jak i jej własne.

Beatrycza".

Wydanie.

Pan Ferris namyślał się długo, zanim powziął decyzyę, podsuniętą mu w anonimowym liście, który według twierdzenia Hickoryego, pochodził od miss Darnell. Po zastanowieniu jednak, doszedł do przekonania, że nie miał prawa, chociaż krok ten był dla niego bardzo przykry, odrzucać możność rozświetlenia sprawy. Prokurator więc zaraz nazajutrz rano zdecydował się odwiedzić młodą dziewczynę. Dowiedziawszy się w willi Ormond, że miss Darnell przebywa od kilku dni u profesora Darlinga, udał się tam bezzwłocznie.

Któżby się był domyślił, widząc Beatryczę, wchodzącą do salonu, gdzie oczekiwał na nią pan Ferris i witającą go swobodnie i uprzejmie, że, porzuciwszy opiekę i majątek pana Ormond, przebywała w willi profesora Darlinga w charakterze lektorki jego żony?...

— Czemu mam zawdzięczyć odwiedziny pana? — zapytała młoda dziewczyna, ruchem ręki wskazując gościowi miejsce obok siebie.

— Miss Darnell — odpowiedział poważnie prokurator — przychodzę prosić panią o wyjaśnienie bardzo ważnego punktu!

Beatrycza okazała lekkie zdziwienie, ale nie zmieszała się bynajmniej.

— Mnie, panie? Jeżeli jest w mojej możności udzielić panu potrzebnych wskazówek, niech pan wierzy, że nie będę się namyślać ani chwili! O cóż to chodzi?

Spokój mówiącej i szczerość jej spojrzenia usposobiły dobrze prokuratora. Czuł jednak, że musi się liczyć z pewnymi względami i rzecz postawić delikatnie i ostrożnie.

— Jestem zmuszony przypomnieć pani, miss Darnell — zaczął — przykrą bardzo okoliczność. Zapewne pamięta pani, że tego ranka, kiedyśmy się spotkali w mieszkaniu pani Clemmens, podniesiono u stóp pani pierścień, który, jak pani sama się wyraziła, był pani własnością?

— Pamiętam o tym fakcie — odpowiedziała młoda dziewczyna z prostotą.

— Czy pani jest pewną, że nie uległa pomyłce? Zapytuję o to, miss Darnell, bo ten pierścień, o ile by się wykazało, że należał do innej osoby — mógłby się stać dowodem ważnym w sprawie, którą rozwiązać usiłujemy.

— Nie uległam pomyłce, panie prokuratorze — odrzekła Beatrycza z widocznym wysiłkiem w głosie — Powiedziałam prawdę! To jest mój pierścień. Mogę tak mówić, bo był mi ofiarowany dnia poprzedniego.

— Ah! — szepnął ze zdziwieniem prokurator.

— Dodam jednak, zmuszona naciskiem, jakim pan podkreśla ten fakt, że mogłabym również dobrze powiedzieć, że pierścień nie należy do mnie, bo go nie przyjęłam.

Pan Ferris powstał zdenerwowany i podniecony. Przeczuwał, że zeznania młodej dziewczyny będą decydujące.

— W takim razie — wyrzekł prawie rozkazującym głosem — proszę pani o wymienienie nazwiska osoby, która ten pierścień ofiarowała pani.

Miss Darnell wstrząsnęła się nerwowo na te kategoryczne słowa. Bolesny skurcz przebiegł po jej zmęczonej twarzy.

— Nazwisko tej osoby? — wyszeptała automatycznie, podnosząc wzrok do góry — Jego nazwisko?

Nagle dziwny jakiś spokój rozlał się na jej twarzy.

— To Cyryl Morgan. — wymówiła powoli i wyraźnie.

Tego właśnie nazwiska oczekiwał gorączkowo pan Ferris, jednakże nie mógł się powstrzymać od lekkiego ruchu zdziwienia.

— Ah! To on! Siostrzeniec pani Clemmens. — rzekł zimno — Znajdował się więc w Sydney w przededniu zbrodni?

— Tak, panie.

— I pani się z nim spotkała?

— Tak.

— W którem miejscu?

Gwałtowny rumieniec wybiegł na twarz Beatryczy Darnell, odpowiedziała jednak bez wahania:

— W lasach, za Białym Domkiem. Chociaż zamiary pana Morgan były względem mnie poważne i szlachetne, nie chciał dla pewnych powodów, aby się o nich jego ciotka dowiedziała.

Pan Ferris, który wiedział więcej, niż nawet przypuszczać mogła miss Darnell, skłonił głowę, nie żądając bliższego wyjaśnienia.

Był głęboko zdumiony lekkomyślnością młodej dziewczyny. Przecież ona była narzeczoną adwokata Ormond, a nie gardziła uczuciami tamtego i spotykała się z nim pokryjomu.

— A więc, miss Darnell — odezwał się po chwili zimno — skoro pani nie przyjęła pierścienia pana Morgan, to on go musiał zachować.

Rozpaczliwy błysk niepokoju w oczach młodej dziewczyny przekonał prokuratora, że zrozumiała całą ważność tego zapytania. Bez słowa uczyniła przytakujący ruch głową, który dostatecznie objaśnił prokuratora.

— I ujrzała pani ten klejnot nazajutrz, kiedy znaleziono go u nóg pani w pokoju jadalnym Białego Domku. Czy tak, miss Darnell?

— Tak. — odpowiedziała bezsilnym głosem.

Pan Ferris na chwilę uczuł litość i współczucie dla tej dziewczyny dumnej, złamanej obecnie rozpaczliwym niepokojem i boleścią.

— Miss Darnell — rzekł łagodnym głosem — jestem pani gorąco wdzięczny za szczerość, jaką pani wykazała we wszystkich swoich odpowiedziach. Już więcej panią męczyć nie będę. Ale, zanim odejdę, chciałbym się jeszcze dowiedzieć, czy wspominała pani komukolwiek o tych okolicznościach.

Beatrycza Darnell wyprostowała się dumnie i zimno spojrzała na prokuratora.

— Nie przypuszcza pan chyba, abym fakt podobny odkryła ciekawości publicznej.

Odpowiedź ta wyjaśniła panu Ferris dostatecznie pochodzenie anonimowego listu. Skłoniwszy się głęboko przed młodą dziewczyną, wyszedł, nie chcąc przeciągać dłużej tej przykrej rozmowy.

Cyryl Morgan.

— Przyprowadzam go, panie prokuratorze.

Odejmując od ust zapalone cygaro, pan Ferris spojrzał na Byrda, wchodzącego do gabinetu.

— Czy nie było jakich trudności, aby go skłonić do przyjścia tutaj? — zapytał.

— Żadnych, panie prokuratorze. Zdawało mi się nawet, że oczekiwał na to wezwanie. Kiedy mu po wiedziałem, że pan pragnie z nim mówić, wstał od biurka, rzucając, o ile mi się zdawało, porozumiewawcze spojrzenie w stronę swojego kolegi, pana Goodmana. Ułożył papiery na biurku, włożył część ich do szuflad i oznajmił mi spokojnym głosem, że jest gotów iść ze mną.

— Czy nie zadał panu jakich pytań?

— Jedno tylko, panie prokuratorze. Zapytał mi się, czy jestem detektywem, a kiedy mu odpowiedziałem potakująco, dodał zupełnie naturalnie: „Potrzebują mnie tam jako świadka, nieprawdaż?"

— Jak mu pan na to odpowiedział?

— Stosownie do jego przypuszczenia, od którego go odwodzić nie chciałem.

— Bardzo dobrze. Niech wejdzie.

Pan Ferris nie znał jeszcze Cyryla Morgan, którego dumna i męska postawa jak najlepsze na nim uczyniła wrażenie.

— Kazałem pana przywołać, panie Morgan — rzekł grzecznie — bo potrzebuję koniecznie zadać panu kilka ważnych pytań.

Młody człowiek skłonił się poważnie.

— Tak mnie też poinformowano, panie prokuratorze — odparł, patrząc prosto w twarz panu Ferris. — W czemże panu użytecznym być mogę?

Pan Ferris nie mógł się oprzeć chęci uczynienia porównania między tem spokojnem, taktownem zachowaniem, a wzburzeniem i zdenerwowaniem Gordona Hildretha. Następnie niespokojnem spojrzeniem objął nieprzeniknioną twarz Byrda i odezwał się z lekkiem wahaniem w głosie:

— Chciałem osobiście pomówić z panem o okolicznościach, w których ciotka pana, pani Clemmens, zamordowaną została, mając wszelkie prawo do przypuszczenia, że może nam pan dostarczyć szczegółów bardzo ważnych. Jako krewny nieszczęśliwej ofiary pragnie pan zapewne ukarania winnego?

Pan Ferris przerwał dalej, chcąc dać możność młodemu człowiekowi do potwierdzenia jego słów, ale widząc, że ten nie zamyśla przerwać milczenia, ciągnął dalej:

— Musiało dojść do pana wiadomości, że niejaki Gordon Hildreth został zaaresztowany nazajutrz po skonstatowaniu zbrodni, pod zarzutem zabójstwa pani Clemmens. Zważywszy ważność dowodów zgromadzonych, nie było wątpliwem, że oskarżony zostanie zawezwany przed sąd przysięgłych i w następstwie zasądzony. Ale od czasu aresztowania Gordona Hildretha pojawiły się w stosunku do innej osoby podejrzenia również poważne.

Kiedy pan Ferris wymawiał słowa: „w stosunku do innej osoby", bolesny skurcz przebiegł śmiałą twarz młodego człowieka.

— Nazwisko tej innej osoby? — zapytał krótko.

— Pan się nie domyśla?

— Wolałbym, żeby pan je wymówił — odparł Cyryl Morgan.

Spojrzenie, towarzyszące tym słowom, było tak spokojne i pewne, że pan Ferris, mimowoli zmieszany, odwrócił głowę.

— Wymienię je panu zaraz — rzekł — ale przedtem chcę panu zadać kilka pytań.

— Słucham!

— Czy może mi pan powiedzieć, gdzie się pan znajdował w chwili, kiedy doszła do pana wiadomość o śmierci pani Clemmens?

— Byłem w fabryce, w mojem biurze.

— Czy również się pan tam znajdował w dniu zbrodni?

— Nie, panie prokuratorze!

— Panie Morgan, gdyby pan chciał szczerze wyjawić, gdzie się pan znajdował w tej chwili, oddałby pan nam wielką przysługę i sobie również!

— Sobie? — zawołał młody człowiek ze szczerem zdziwieniem. — Nie rozumiem pana!

— Niech mi pan wierzy — ciągnął dalej prokurator — uczyni pan najlepiej, będąc teraz szczerym.

— Przypuszczam, że pan prokurator jest dobrze pod tym względem poinformowany!

— Mamy podstawę przypuszczać, że pan podówczas był w Sydney — wymówił wolno i dobitnie pan Ferris, jak gdyby chciał dać odczuć młodemu człowiekowi grozę jego sytuacyi.

— Jakże to być może? — zapytał Morgan. — Trzy miesiące temu byłem raz u mojej ciotki, a dzisiaj po raz pierwszy znajduję się w tem mieście.

— Nie potrzeba być w mieście, aby dojść do mieszkania pani Clemmens. Panie Morgan, niech mi pan wierzy, nic pan nie zyskuje, lawirując w ten sposób słowami. Nie będę przed panem niczego ukrywać. Mamy dowód, że pan znajdował się w Sydney w dniu zbrodni i że pan wszedł do Białego Domku. Kwestyą najważniejszą, jak pan sam przyznać musi, jest dowiedzieć się, czy pan odwiedził swoją ciotkę przed lub po bytności u niej pana Gordona Hildretha. Chciělibyśmy wierzyć, że stało się to przedtem.

Gorzki uśmiech wykrzywił usta Cyryla Morgan.

— Jednem słowem, panie prokuratorze, nie zostałem tu zawezwany jako świadek, tylko...

— Panie Morgan! — przerwał pan Ferris.

— Ten człowiek mnie oszukał — ciągnął dalej gwałtownie młody człowiek, zwracając się do Byrda ze spojrzeniem, pełnem pogardy i złości.

— On tylko wypełnił swój obowiązek, nie dając panu należnych objaśnień, do czego zresztą nie upoważniłem go wcale.

— Ale teraz chciałbym wiedzieć, na jakich podstawach zbudował pan przeciw mnie tak ważne oskarżenie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z tygodnia.

Cesarz Karol I. do Rady Stanu.

Na posiedzeniu Rady Stanu dnia 21. marca odczytał Marszałek koronny następującą telegraficzną odpowiedź cesarza Karola I. na telegram, wysłany przez Radę Stanu do panujących obu mocarstw centralnych:

„Marszałek koronny Niemojowski, Warszawa.

Ze szczerem zadowoleniem przyjąłem wyrazy hołdu, złożone Mi przez Radę Stanu i proszę J. W. Pana przyjąć za nie Moje najserdeczniejsze podziękowanie, oraz zakomunikować je pp. Członkom Rady Stanu. Gorące słowa, w jakich Rada Stanu wyraziła swą wdzięczność dla Mego, w Bogu spoczywającego Dziada, ś. p. Cesarza i Króla Franciszka Józefa I., wzruszyły Mnie do głębi. Niemniej, niż zmarłemu Monarsze, leży Mi na sercu pomyślność i rozwój narodu polskiego, który od wieków stanowi taki ważny czynnik w historyi cywilizacyi zachodniej; najszczersze Moje życzenia towarzyszą tworzeniu się powołanego do życia przezemnie łącznie z Moim Dostojnym Sprzymierzeńcem Królestwa Polskiego, którego pierwszy organ stanowi Rada Stanu. Z najżywszem zainteresowaniem odnoszę się obecnie, jak i dawniej do ważnych zadań, stojących przed polską Radą Stanu przy odradzaniu się ojczyzny i do wysiłków, jakie W. Pan i Jego Współpracownicy czynią, aby sprostać wielkim wymaganiom tego pamiętnego okresu historyi polskiej. W szczególności oceniam należycie Wasze dążenie do stworzenia wojska polskiego, którego powstanie jest rzeczą największej dla Państwa Polskiego wagi i jestem zdecydowany popierać jak najsilniej dzieło tworzenia armii. Ponieważ Mój Wysoki Sprzymierzeniec Jego Cesarska Mość Cesarz niemiecki, żywi te same, co i Ja zamiary, zarówno naród polski, jak Rada Stanu mogą mieć zupełnie pewną nadzieję, że całkowita budowa upragnionej przez kraj instytucyi powiedzie się najpomyślniej dla przyszłości Polski.

Oby błogosławieństwo Boże spoczęło na Polsce i na Waszych pracach, podjętych dla dobra ukochanej Ojczyzny.

(podpisano) *Karol*."

Zapowiedź zniesienia ustaw wyjątkowych w zaborze pruskim.

W czasie obrad nad budżetem w Izbie panów Sejmu pruskiego, zabrał między innymi głos książę Radziwiłł, który podkreślił doniosłość historyczną manifestu listopadowego, wyrażającego niedwuznacznie zapatrywanie polityczne, że naród taki, jak polski, leżący w sercu Europy, wobec swej przeszłości historycznej, rozległości etnograficznej, swego współdziałania w dziełach cywilizacyi ludzkości, musi znowu odzyskać własne stanowisko wśród państw Europy.

„Do tej myśli manifestu — oświadczył mowca — odnosić się musimy z podziękowaniem, uznaniem i pewną nadzieją. Z tego logicznie wynika, że nowy twór państwowy musi być dość silnym i zdolnym do życia, aby mógł w przyszłości zwiększyć rękojmię pokoju Europy. Sądzimy, że możemy równocześnie przyjąć, iż sprawiedliwa polityka wewnętrzna Prus wobec swych obywateli narodowości polskiej oddziała korzystnie na stosunek Polski do Prus. Polityka, która nie opiera się na uznaniu praw narodu i kulturalnych potrzeb ludności polskiej, która jest zatrutą administracyjnemi ograniczeniami w stosunku ludności polskiej do państwa pruskiego, według zapatrywań naszych nie będzie mogła się dalej utrzymać. Tylko na podstawie całkowitego obywatelskiego równouprawnienia zdoła się urzeczywistnić pożądany harmonijny stosunek ludności polskiej do państwa pruskiego i do państwa niemieckiego. Polacy w Prusiech krwią własną zaświadczyli we wszystkich wojnach wojsk niemieckich wierność złożonej na chorągwie przysiędze. Nie wątpię, że także i w przyszłości wypełnią swój obowiązek".

W odpowiedzi na to oświadczenie znamienną mowę wygłosił książę Trachenberg, który między innemi powiedział:

„Książę Radziwiłł złożył imieniem Polaków ślubowanie wierności. Proklamowanie samodzielnej Polski uważane jest z wielu stron jako błąd. Lecz cóż mieliśmy uczynić? Nie uporaliśmy się z trzema milionami Polaków, nie uporamy się także z siedmiu milionami. Rosya przeć będzie nadal ku zachodowi. W rzeczywistości Polska wobec swego położenia geograficznego, wedle swej historyi, kultury i swej religii należy do zachodu.

Co do tego Polacy nie mogą się łudzić: Gdańska i Polski pruskiej nie możemy im dać. Lecz nasza wewnętrzna polityka musi być zmienioną w ten sposób, by uwzględniła nowego sąsiada. Będziemy musieli znieść ustawę o wywłaszczeniu, musimy także przy zezwalaniu na kolonizacyę dokonać zmiany. Musimy Polakom zezwolić na naukę religii w języku ojczystym, musimy też zezwolić na używanie języka polskiego w stowarzyszeniach i na zgromadzeniach. Spodziewamy się dobrego stosunku z naszymi polskimi współobywatelami".

W dyskusyi tej zabrał również głos i przedstawiciel rządu, wiceprezydent ministerstwa Breitenbach, który w końcu swego przemówienia złożył następujące oświadczenie:

„Spodziewamy się, że w przyszłości wspomnienia o ciężkich walkach w naszej polityce wewnętrznej pójdą w zapomnienie. Ze rząd porzucił swe stanowisko, by dopiero po wojnie rozważyć zmiany, to leży w naturze długiego trwania wojny. Mogę imieniem rządu podać do wiadomości, że rozpoczęty się rozważania o zniesienie ustawy o wywłaszczeniu i o przyznanie ułatwień w używaniu języka ojczystego. Przez skasowanie ustawy kolonizacyjnej z przyznanie pomocy państwowej, polskim obywatelom państwa daną będzie możność osiedlania się w ojczyźnie. Narady te wnet będą ukończone. Tem samem rozpocznie się nowy okres wspólnej pracy rolników polskich i pruskich".

Kanclerz Niemiec o rewolucyi rosyjskiej i sprawie polskiej.

Na posiedzeniu parlamentu niemieckiego w dniu 29. marca zabrał głos kanclerz Rzeszy niemieckiej, Bethmann Hollweg, który między innemi oświadczył:

„Historyczne wydarzenia w Rosyi wysuwają się na czoło wypadków. O ile możemy to osądzić, cesarz Mikołaj padł ofiarą własnej tragicznej winy. Z dawien dawna Prusy i Rosyę łączyła tradycyjna przyjaźń, ale w domu panującym rosyjskim ostatnim przedstawicielem dawnych i dobrych stosunków był właściwie Aleksander II. Nie pomnąc o węzłach, łączących sąsiednie państwa przez całe stulecie, nie pomnąc, że żadne żywotne przeciwieństwa interesów nie dzielą obu krajów, car coraz to więcej przechodził na stronę koalicyi i popadł wkońcu w tak wielką zawisłość od partyi wojennej, panującej pod rządami autokratycznymi, że w dniach dziejowych w lipcu 1914 nie usłuchał apelu cesarza do długoletniej przyjaźni. Jedną z ulubionych legend naszych przeciwników jest, że rząd niemiecki popierał reakcyjne autokratyczne rządy Rosyi przeciw wszelkiemu ruchowi wolnościowemu. Już rok temu w parlamencie oświadczyłem, że to twierdzenie wprost sprzeciwia się faktom. Kiedy Rosya w roku 1905 wskutek wojny japońskiej, a potem wskutek rewolucyi znalazła się w poważnym kłopocie, cesarz niemiecki usilnie doradzał carowi Mikołajowi na podstawie stosunków osobistej przyjaźni, by nie sprzeciwiał się już dłużej uprawnionym życzeniom swego ludu co do reform; a więc cesarz uczynił coś wprost innego, niż to, co dla jasno zrozumiałych celów się o nim twierdzi. Car Mikołaj poszedł inną drogą, która nie odpowiadała interesom ani jego własnego kraju, ani naszego. W Rosyi, zajętej przebudową wewnętrzną, nie byłoby miejsca dla niedorzecznych dążeń ekspanzywnych, które wkońcu doprowadziły do tej wojny i dawny rząd tak bardzo obciążyły, że nawet trudno jest zdobyć się na naturalne ludzkie współczucie dla obalonego domu panującego.

Jaki obrót rzeczy wezmą, tego zapewne nikt nie może przepowiedzieć; dla nas stanowisko wobec zajść w Rosyi jest jasne. My i nadal trzymać się będziemy zasady niemieszania się w wewnętrzne stosunki obcych krajów. Niechętni rozpuszczają teraz wszelkimi możliwymi sposobami wiadomość, że Niemcy chcą zgnieść swobodę dopiero co osiągniętą przez naród rosyjski, że cesarz niemiecki pragnie przywrócić panowanie cara nad jego uciemiężonymi poddanymi. Te wymysły są nawskróś kłamstwem i oszczerstwem, co tu z całym naciskiem podkreślam. Jak naród rosyjski sobie urządzi swój dom, to jest wyłącznie jego sprawą własną, w którą my się nie mieszamy. To, czego my pragniemy, jest, by stosunki w Rosyi taki wzięły obrót, iżby Rosyę uczyniły silną ostoją pokoju. Jeżeli nowy porządek rzeczy przyczyni się do tego, by ułatwić znowu zbliżenie się obu narodów, skazanych na dobre sąsiedzkie stosunki, to witamy to z radością. Myśmy do syta cierpieli pod błędami dawnej Rosyi, która pokrywała zamach morderczy Serbii na Austro-Węgry, która w lipcu 1914 roku dokonała przeciw nam mobilizacyi, która w grudniu 1916 roku pierwsza z nieprzyjaciół Niemiec z drwinami odrzuciła naszą propozycyę pokojową. Naród rosyjski, który z pewnością tej wojny nie pragnął, może być spokojny, że my nie będziemy się w jakikolwiek sposób mieszać w jego sprawy. Nie pragniemy niczego innego, jak tylko, byśmy możliwie szybko mogli z tym narodem żyć znowu w pokoju, w pokoju, opartym na pełnej honoru dla obu stron podstawie."

Omówiwszy następnie sprawę zatargu ze Stanami Zjednoczonymi i sytuacyę na frontach, kanclerz przypomniał złożone w dniu poprzednim w pruskiej Izbie panów oświadczenie co do polityki polskiej, z którego wynika, że „rząd nie trzyma się już dziś w całej pełni zasady odracania wszystkiego aż na czas po wojnie. W ten sposób będzie można także kwestye, które wchodzą w zakres kompetencyi parlamentu, prędzej załatwić, niż to pierwotnie było zamierzone."

Niemcy a wyodrębnienie Galicyi.

Jak donosi *„Morgenzeitung"* z Wiednia, subkomitet, powołany przez niemiecki Związek narodowy dla narad na sprawą wyodrębnienia Galicyi, wypracował elaborat, w którym przedstawia swoje podstawowe zapatrywania na tę kwestyę. Zasady te, podane Kołu polskiemu do wiadomości, są następujące:

Królestwo Galicyi stanowi część składową cesarstwa Austryi, a przez to i monarchii austro węgierskiej. Patent cesarski, zaprowadzający nowe ukształtowanie stosunków wewnętrznych w Austryi, ma przeprowadzić wyodrębnienie Galicyi według poniższych zasad i polecić rządowi, aby poczynił do przeprowadzenia tej sprawy potrzebne zarządzenia. Rada państwa w swym obecnym składzie już się zebrać nie powinna. Galicyjscy członkowie Rady państwa ustępują tak z Izby posłów jak i z Izby panów. W obu Izbach tworzą oni tymczasową reprezentacyę Galicyi. Reszta członków Rady państwa stanowi austryacką Radę państwa. Wspólne sprawy cesarstwa austryackiego załatwiają obie Izby austryackiej Rady państwa, jakoteż obie Izby reprezentacyi galicyjskiej na osobnych zebraniach.

Administracyę spraw wspólnych wykonuje rząd austryacki, który w tym celu utrzymuje w Galicyi potrzebne władze i organy, podobnie jak w innych królestwach i krajach; władze te są niezależne od galicyjskiego rządu krajowego. O ile ustawodawstwo galicyjskie nie odpowiada potrzebom państwa i zobowiązaniom kraju, rząd może objąć dotyczące sprawy pod swój zarząd. Język państwowy obowiązuje także i w królestwie Galicyi o tyle, iż władze krajowe komunikują się z władzami państwowemi wyłącznie w języku państwowym. Przy unormowaniu wewnętrznych stosunków w Galicyi należy także odpowiednio wziąć pod uwagę szczepy, kraj zamieszkujące. Według tego Rusinom i Niemcom należy przyznać według ich liczebności i znaczenia odpowiednie mandaty w ciałach reprezentacyjnych. Miasto Biała i przyległe gminy niemieckie mają być odłączone od Galicyi i wcielone do Księstwa Śląskiego.

Kronika tygodniowa.

Panie nasze, pisząc listy, trzymają się, jak wiadomo, tej zasady, iż cały arkusz papieru poświęcają najrozmaitszym sprawom, nie mającym z tem. o co im się właściwie rozchodzi, najmniejszego związku, właściwy zaś interes poruszają zazwyczaj w przypisku, na który zostało zaledwie kilka wierszy. Stało się to dla nich prawie zasadą (są naturalnie i wyjątki, a te tworzą niewiasty, które listów nie piszą...), ilekroć też dostanę w ręce list, pochodzący od przedstawicielki płci nadobnej, zaczynam czytanie od końca, początek zostawiając sobie na później. Wychodzę na tem nienajgorzej, gdyż i czasu tracę niewiele i wiem zaraz, co w trawie piszczy.

To mnie jednak martwi, iż tę samą metodę wprowadziłem mimowoli i do kronik, na sam koniec zostawiając sobie omówienie ważnych spraw. A że człek nie może z góry przewidzieć, jak daleko uniesie go fantazya, która, zwłaszcza na wiosnę, staje się o wiele bujniejszą, zdarza się czasem, iż miejsca nie starczy na uderzenie w najczulsze struny, nie zawsze zaś można coś odłożyć na późniejszą porę, bodajby tylko do następnego numeru.

W tem właśnie położeniu jestem i dziś, dlatego też zmieniam wyjątkowo kronikarską oryentacyę i rozpoczynam od tego, co w numerze świątalnym uważam za najważniejsze. Jakże bowiem wyglądałyby *Nowości illustrowane* bez życzeń, z którymi kronikarz tak skwapliwie spieszy co roku?... Wprawdzie umieszczone na końcu kroniki dłużej pozostałyby w pamięci Szanownych Czytelników, ale któż mi zaręczy, że starczy na nie miejsca?... Niezbadane są wyroki Opatrzności i pana metrampaża!

Życzę więc wszystkim razem i każdemu z osobna, bez względu na narodowość, wyznanie, płeć, przekonania polityczne, wzrost, tuszę i t. d — z szczególniejszem naturalnie uwzględnieniem tych, którzy prenumeratę punktualnie opłacają — aby tegoroczna Wielkanoc była ostatnią pod znakiem Marsa i Bellony. Trzy wojenne jajka zupełnie wystarczą, czwarte mogłoby być niestrawne, a zwłaszcza na zdrowie należy nam dziś zwracać uwagę, by nie sprawić swą osobą kłopotu miejskiemu fizykatowi. Gdybym mógł, pospieszyłbym więc z święconem jajkiem do każdego z Czytelników osobiście, a nie wątpię, że każdy i każda przyjąłby mnie z otwartem sercem i ową tradycyjną staropolską gościnnością, która, dzięki Bogu, żywie jeszcze w naszem społeczeństwie. Staje jednak w pierwszej linii na przeszkodzie brak jajek, co przypisać należy niezrozumiałym kaprysom kurzego rodu, następnie brak czasu, wreszcie zaś reumatyzm, dający mi się zwykle na wiosnę lekko we znaki. Ograniczyć się więc muszę na drukowanem słowie i powtarzam raz jeszcze: „Wesołego Alleluja i końca wojny jeszcze w roku bieżącym!“... Wiem, iż wielu, zwłaszcza z pośród tych, którzy na wojnie robili i robią dobre interesy, weźmie mi za złe zwłaszcza drugą część życzenia, ale cóż ja na to poradzę, że, o ile mnie to dotyczy, to wojna wyłazi mi już bokiem. A takich, jak ja, jest więcej, zwłaszcza w sferze tak zwanej intelligencyi, która handlem się nie trudni, z nimi też, jako towarzyszami niedoli, jednoczę się bodaj duchowo. Zaznaczam wyraźnie „która handlem się nie trudni“, gdyż takie już nastały czasy, iż nawet osoby, z handlem nic wspólnego nie mające, biorą się do niego, by w mniej lub więcej uczciwy sposób zarobić sobie kilka koron. Każdy z takich panów ma kieszeń pełną próbek, a towar swój zachwala z takim zapałem, jakiego nie powstydziłyby się nawet kupcowe z dolnej hali Sukiennic, znane przecież w całym świecie z nadzwyczaj przekonywującej wymowy. Panowie ci rekrutują się z pomiędzy urzędników publicznych i prywatnych, pedagogów, nawet literatów i dziennikarzy. Wszystkim im życzę, by na pośrednictwie handlowem zarobili jak najwięcej i nie weszli przypadkiem w konflikt z władzami, tępiącemi, o ile się to da, handel łańcuchowy, obliczony na wyzysk i obdarcie żywcem bliźniego ze skóry.

Wystarczy zupełnie, jeśli spełnią się powyższe moje życzenia. Gdy to się stanie, odetchniemy swobodnie i powoli wrócimy do normalnego trybu życia, z którego nas obecna wojna wykoleiła. Zapomnimy nawet o tem, że tegoroczne święta Wielkiejnocy spędziliśmy bardzo smutno i, co najważniejsze, przy mrukliwym akompaniamencie żołądka, dopominającego się o swe prawa i nie mogącego pojąć, co to ma znaczyć, iż się z dnia na dzień coraz bardziej o nim zapomina, choć wiadomo, że jest on najważniejszą częścią maszyneryi, regulującą wszelkie funkcye życiowe. Ongiś, po inne lata, używał człek na jadle i napitku u siebie w domu, gdy mu się to zaś sprzykrzyło, szedł do znajomych i kontynuował dalej to zajęcie, dziś żyje się tylko wspomnieniami i łyka ślinkę. Można wprawdzie odwiedzić przyjaciół, ale to na nic się nie zda, co najwyżej nasłucha się tylko narzekań i utyskiwań na ciężkie czasy i los garbaty. Lepiej więc siedzieć w domu i przypominać sobie, jak to było wesoło lat temu cztery lub pięć...

Czuję, że rozstroiła się moja kronikarska lutnia i niewiele brakuje, bym się nie rozpłakał. wolę więc dać spokój temu niewdzięcznemu tematowi, a przejść do spraw, które, dzięki właśnie owym wyżej przytoczonym życzeniom, z początku kroniki przesunięte być musiały ku jej końcowi. Boję się nadto, bym nie popadł w czarną melancholię, a Weronisia powiada, że mi w czarnym kolorze nie do twarzy, pan fizyk zaś w swych przykazaniach upomina, że mimo przeciwności nie powinno się nigdy upadać na duchu. Los zakpił sobie z nas szkaradnie Ale niema w tem nic dziwnego, są to skutki pierwszego kwietnia, w którym to dniu rozpoczął się nowy kwartał i Wielki Tydzień, dawniej przeznaczany na ostatnie przygotowania świąteczne. Dziś wiem wprawdzie, ale tylko o początku kwartału, gdyż pan gospodarz dowiadywał się już dwa razy o moje zdrowie, ogromnie podobno zadowolony z tego, iż ustawa o ochronie lokatorów, nie ma w Krakowie mocy obowiązującej. Co do Wielkiego Tygodnia zaś, to przypomniał mi się tylko o tyle, iż na wszelki wypadek musiałem pomagać przy zakładaniu czystych firanek (a nuż dyabli gości przyniosą!... — tak powiada Weronisia — Obnieśliby mnie po całem mieście!...) i dowiedziałem się z gazet, że na głowę i żołądek przeznaczono po ćwierć kilograma białej mąki pszennej i ćwierć kilograma jęczmiennej, albo pęcaku, o ile zapas starczy. Prowiantowanie się w różnorodne stałe i płynne smakołyki ograniczone zostało do ***minimum***, co najwyżej przygotować należy bodaj konewkę wody na zapas na wypadek, gdyby przypadkowo pękła znowu rura wodociągowa jak to miało miejsce w ubiegłym tygodniu.

A trzeba wiedzieć, że są tacy, którzy kronikarzowi przypisują winę owego pęknięcia, nawiązując to do poprzedniej kroniki. Wspomniano tam, iż żyjemy obecnie pod znakiem litery „w“, nic też dziwnego, że do wiosny, wojny i Wielkanocy przybyły jeszcze wodociągi. Rura wodociągowa, mająca siedmdziesiąt centimetrów średnicy, sprzykrzywszy sobie monotonną pracę, polegającą na ciągłem przepuszczaniu przez swe wnętrze wilgoci bielańskiej na użytek spragnionych Krakowian, pomyślała sobie, że przecież warto, by i nią zajęła się opinia publiczna, wobec czego pękła ku zmartwieniu Zarządu wodociągowego, a jeszcze więcej naszych gospodyń i służących, które musiały z konewkami i garnuszkami czekać na pojawienie się miejskich beczkowozów. Ucierpiała na tem poważnie i krajowa produkcya win węgierskich i innych trunków, których bielańska woda głównym jest składnikiem. Miało to zaś miejsce bezpośrednio przed świętami, po inne lata byłoby więc katastrofą, tego roku nie odbiło się znów tak fatalnie na tej gałęzi krajowej wytwórczości, która musiała być już przedtem zmniejszoną z powodu golonej golizny i, co za tem idzie, braku odbiorców. Dziś jest człowiek zadowolony, że może wodą ugasić pragnienie, o winie, nawet krajowego wyrobu, dawno już zapomniał. A i Święta Wielkanocne tego mi nie przypomną! Na pęknięciu rury wyszli najlepiej ci obywatele, którzy mają w swych realnościach studnie, mogli bowiem sprzedawać wodę potrzebującym jej sąsiadom, a taryfa maksymalna w tym kierunku nie obowiązuje, więc nie trzeba się obawiać pociągnięcia do odpowiedzialności za podbijanie cen. Przybył też z tego powodu nowy rodzaj ogonków, tak zwane „ogonki wodne“.

Zarzut, że pęknięcie rury jest winą kronikarza, spotkał go zupełnie niesłusznie, uprasza też P. T. Czytelników, by podobnym pogłoskom wiary nie dawali. Rura pękła z własnej ochoty, powodem mógł być nadto wiek podeszły lub jakowyś defekt. Uczyniła to w każdym razie pod nadzorem władzy, gdyż w bezpośredniem sąsiedztwie budynku, gdzie się mieści komisaryat policyi i magistratu na Półwsiu. Gdyby z Bielan do Krakowa prowadził drugi, rezerwowy rurociąg, nie byłoby tyle kłopotu.

Raczej przypisałbym to zdarzenie pechowatości roku 1917, który, choć nie może się wykazać żadną trzynastką, nie ma jakoś szczęścia do niczego. Wojna się nie kończy, wiosna próbuje rozpocząć swe panowanie, ale jakoś się jej nie wiedzie, w niebiesiech zmagazynowano widocznie większe zapasy śniegu i od czasu do czasu wysypuje się je na ziemię, co znów bardzo ujemnie musi się odbić na wszelakiej wegetacyi. Nie dziwiłbym się wcale, gdyby tak nawiedziło nas jakie trzęsienie ziemi. Choć nie należy mówić „hop!...“, na lato zapowiedział nam te przyjemności jakiś uczony meteorolog i astronom, o czem sam nawet swojego czasu w kronice wspominałem. Wobec tego tracę i nadzieję, że wojna skończy się w tym roku, choć, jak zwykle na wiosnę, jaskółki pokojowe pojawiają się coraz gromadniej. Zwłaszcza odrębny pokój z Rosyą jest na ustach wszystkich, podawano nawet warunki, na jakich miał być zawarty.

Rewolucya rosyjska, o której jedni mówią, że szaleje, inni zaś utrzymują iż jest bardzo spokojna, przedstawianą bywa w komunikatach, czerpanych przez naszych dzienników z jedynie dostępnych im źródeł neutralnych, tak rozmaicie, iż właściwego jej obrazu nikt sobie wyrobić nie może, nie można też z góry powiedzieć, czy może ona mieć i czy będzie miała wpływ decydujący na zakończenie wojny. Różni politycy przewidują, iż przeniesie się ona przedewszystkiem do Rumunii i do Włoch, a i w Hiszpanii nie musi być sytuacya dość pewna, skoro musiano tam zawiesić konstytucyę. Ale o tem wszystkiem mówi się i pisze tylko „półgębkiem“ i czeka, co jutro przyniesie. Wogóle wszystko obecnie na świecie dzieje się na opak, jak to widzimy bodaj z komunikatu miejskiego biura statystycznego, które za miesiąc grudzień ubiegłego roku wykazuje liczbę urodzin chłopców 119, dziewcząt zaś 138. Tak zaś być nie powinno w czasie, kiedy potrzeba rekruta. Wprawdzie powiedział jakiś uczony, że w przyszłości przyczynią się do tego i owe dziewczęta, które tymczasem wyrosną na niewiasty, ale na to zbyt długo czekać potrzeba. Owa dysproporcya między liczbą urodzin chłopców i dziewcząt wskazywałaby na to, że wojna powinna się skończyć, zupełnie bowiem inny stosunek panował w tym czasie, gdy się na nią zabierało.

Być zresztą może, że płeć piękna dlatego tak licznie przychodzi na ten świat, iż teraz właśnie, w czasie wojny, otwierają się przed nią nowe horyzonty. Rewolucya rosyjska przyznała kobietom zupełne równouprawnienie z mężczyznami i dopuściła je do wszystkich urzędów bez zastrzeżenia. W Rosyi może dziś kobieta zostać nawet ministrem wojny, do rad miejskich weszło już podobno kilka niewiast, w niedługim czasie mają się pojawić i kobiety-adwokatki. Także i parlament angielski oświadczył się za przyznaniem ogółowi kobiet prawa wyborczego, ale był na tyle niegrzecznym, iż ustanowił granicę owego „niebezpiecznego“ wieku. Oznaczono ją na ukończony trzydziesty piąty rok życia, a wątpię, czy się znajdzie niewiasta, zwłaszcza zaś sufrażystka (więc stanu wolnego), któraby się przyznać chciała, że przekroczyła już ten życiowy Rubikon.

Jeżeli tak dalej pójdzie, to nie wyobrażam sobie nawet, jak świat ten będzie po wojnie wyglądał. Tak, jak już z tramwaju kobiety wypędziły prawie zupełnie rodzaj męski, stanie się niezawodnie i w innych dziedzinach życia, czyli, że my zejdziemy nie tylko na drugi plan, ale po prostu na psy, więc może nawet nie warto sobie życzyć, by się wojna tak prędko skończyła!

Należałoby się nad tem zastanowić i rozpisać w tym kierunku ankietę.

Ze względu na to, iż tak żałośnie jestem dziś usposobiony, powinienbym wspomnieć o braku węgli, który dokucza całemu miastu, ale w każdym razie oszczędza literatów, gdyż, w braku innego materyału, mogą oni palić swymi utworami. Zwłaszcza redakcye, zasypywane nieraz stosami rękopisów, znalazły się w bardzo przyjemnem położeniu i wzywają wszystkich, umiejących pisać, do nadsyłania swych prac, ale „w listach opłaconych“.

Natomiast ci, którym z powodu braku węgli zimno, mogą się pocieszyć, gdyż zniesiono jeden dzień postu urzędowego. Kogo więc stać na to, może pięć razy w tygodniu jeść mięso, ale w ograniczonej ilości, we wtorek ponadto baraninę, z tych baranów, których u nas zupełnie już niema. Sobota pozostała dniem beztłuszczowym. Nie wolno wówczas używać i oleju rycynowego, który obecnie stał się dostępnym tylko dla milionerów. Zwykły śmiertelnik, chcąc się doczekać rychłego spełnienia marzeń, musi oglądnąć się za innymi środkami.

Skoro zawadziłem już o aprowizacyę, to muszę kilka słów poświęcić i sprawie kradzieży większej liczby kart cukrowych, której dopuścił się jakiś niewyśledzony dotąd złoczyńca w jednem z biur rozdawnictwa. Dawniej kradziono złoto, srebro i inne przedmioty, przedstawiające jakąś wartość, dziś złodziej łakomi się na karty cukrowe, sądząc, iż potrafi sobie w ten sposób osłodzić swą dolę. Udać mu się to może tylko w tym wypadku, jeśli władza dostanie go w swe ręce i osadzi w więzieniu, gdzie będzie miał gratis mieszkanie, wikt, opał i wszelaki opierunek. Jeśli więc kradł z tą myślą, musi mu się przyznać, że się znalazł w kropce. Wikt u Świętego Michała wprawdzie niezbyt wybredny, lokal trochę może ponury, ale ma się przynajmniej pewność, że się z głodu nie zginie, ani z zimna nie zmarznie, a i to coś znaczy na te ciężkie czasy. Jest to także pewien rodzaj zaopatrzenia, niezbyt może honorowego, ale w każdym razie dość wygodnego. Na bezrybiu i rak rybą!...

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.
Ułożył Mecenasik z Krakowa.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, utworzą rozwiązanie, mające ścisły związek ze świętami Wielkanocy.

—ór
l–n
lo—
m—c
—ut
s—n
są—
n—c
—ra
a - t
mó –
m—r
—os
m—r
ma—
b—s.

Logogryf.
Ułożył A. J. Tonek, Kraków.

Z podanych zgłosek ułożyć szereg wyrazów o pewnem znaczeniu. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko greckiego filozofa, końcowe zaś, czytane z dołu do góry, nazwisko wodza spartańskiego, który poległ podczas wojny pelopeneskiej w bitwie z Ateńczykami

a, a, de, e, fo, kles, kon, lub ma, mi, mir mo, my, o, rad, ry, sa, so, ta, usz, za, za

Znaczenie wyrazów: 1. Sławny tragik grecki. 2 Część pustyni, pokryta roślinnością 3 Imię męskie 4 Końcówki w wierszach. 5. Imię męskie. 6. Rzeka w Anglii 7 Nazwa panującego w Azyi 8. Człowiek, myślący tylko o sobie.

Kwadrat magiczny.
Ułożył A. J. Tonek, Kraków.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a
c c c d
k k ł m
r r u n

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto na Wołyniu. 2 Słabość. 3 Zabawka dla dziecka. 4 Rodzaj sklepu.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył S. Drewienko, Prądnik.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Tosia męczyło Furkotne.

Trójkąt magiczny.
Ułożył W. Augustowski, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy imię i nazwisko młodego czeskiego wirtuoza.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ – – – – – – – – –
□ – – – – – – – –
□ – – – – – – –
□ – – – – – –
□ – – – – –
□ – – – –
□ – – –
□ – –
+ –
+

Znaczenie wyrazów: 1. Szukane wyrazy 2. Imię męskie 3. Rodzaj farby do mebli 4. Zbior liter 5. Jeden z wodzów w Legionach 6. Imię żeńskie. 7 Uszkodzenie ciała. 8. Inaczej droga. 9 Zaimek. 10. Spółgłoska.

Zadanie do przestawienia.
Ułożyła L. Schuperowa, Lwów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Noe w nocy goły. O! Za łeb dam! I! Nie bresz!...

Zadanie królewskie.
Ułożył Ktoś z Krakowa

Z liter, idąc według posunięć króla na szachownicy, ułożyć tytuł artykułów, które w tym czasie spotyka się ciągle w pismach codziennych

c	y	ą	y	a	y	z
e	d	z	t	n	j	e
d	r	s	n	o	d	n
e	z	p	e	z	c	o

Łamigłówka.
Ułożył A. J. Tonek, Kraków.

Nazwę polskiej bohaterki składa pięć liter, które, liczone według kolei polskiego abecadła, uczynią sumę 55.
Odnaleźć tą nazwę

Bilety wizytowe.
Ułożył Z. Szymanek, Kraków.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

S SYLATTI

N. KUNIESKI.

NASTKA SEYT.

ROŻA BARWIK

SYLWIUS PETKO BEK.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Album Legionów polskich.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 12.

Łamigłówka:

Cios
Opal
Niwa
Rawa
Agat
Doża
Duma
Iwon
Loża
Liga
Ezaw
Ropa

Zadanie do przestawienia: Każdy święty ma swoje wykręty.

Liczbówka:

J
Z a n
H a k i m
G i a c o s á
S ł a w i a ń s k
T a k c i ę p i s z ą
W e z u w i u s z
W y b i c k i
A l d a n
A z a
ą

Równanie:
Krzyżacy + żaba + Wodzinowski + Żeromski = Krzyżanowski

Stanisławów + Niger + Bolesław = Stanisław.

Trójkąt magiczny:

L e o n W y r w i c z
E k s e l e n c y a
O s t r o s ł u p
N o r w e g i a
W a r c a b y
Y a n k e e
R y g o r
W i l k
I n d
C o
Z

Zadanie do przestawienia: Rodem kurki czubate.

Okienko:

D i a n a
i t t
a t e n e
n n n
a t e n y

Rozsypane litery: Młodość płochość.

Łamigłówka wyrazowa: Helena Modrzejewska.

Bilety wizytowe: Pielęgniarka. Komisarz. Kapelmistrz. Operator kina. Rakarz miejski.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków, A Kosiński Zakopane, M. Wyka Kraków, D. Ligęza Kraków, D. Sedyńska Kraków, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, H. Korytowski Cieszyn, A. Siatka Kraków, J. Kwaśniewski Krzeszów, W. Gebhardt Kraków, J. Sadowski Kraków, H. Trojacki Wiedeń, C. Wang Wadowice, K. Sawliński Jasło, I. Brzostowski Krosno, S. Karwowski Berlin, D. Łopatyński Kraków, M. Klappholz Kraków, D. Engelberg Wiedeń, J. Lisowski Oświęcim, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Sucha, S. Krzyżanowski Kraków, J. Rosenbaum Skawina, J. Krawecki Wadowice, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Poddębie, J. Zachara Biała, J. Łopatkiewicz Praga, L. Lang Kraków, B. Zbigniewicz Kraków, S. Sokołowski Kraków, L. Kozubski Wiedeń. K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Biała S. Bernatowicz Zakopane, M. Klimek Cieszyn, S. Lipski Wiedeń, S Skowroński Wiedeń, J. Jahoda Cieszyn, T. Biliński Oświęcim, A. Dużak Kraków, S. Jasiński, Budapeszt, J. Broda Mor. Ostrawa, S Grodzicki Praga, S Kamocki Przemyśl, J. Topolnicki Lwów, M Wiśniewska Lwów, S. Bednarski Przemyśl, S Jaśkiewicz Wiedeń L Kozubski Wiedeń, H Czyżewiczówna Radomsk E Winter Tarnów G Hoch Borysław, Z. Szymanek Kraków E Bogdalska Koropuż, B Książek Miejsce Piastowe, E Bogdalska Koropuż. J. Sosenko, poczta pol 286.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **H. Czyżewiczówna Radomsk.** Upraszamy o nadesłanie 50 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Kącik humorystyczny.

Jak to zrozumieć?

A.: Więc już jesteś zdrów, więc niebezpieczeństwo już szczęśliwie minęło?
B.: Jeszcze nie. Lekarz powiedział, że jeszcze kilka razy musi do mnie przyjść...

Na targu.

— Co widzę? Kochana pani tutaj? Czy pani sama zajmuje się kuchnią?
— Tak! Ale tylko wtedy, gdy mnie mąż zgniewa!

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska Klisze własnego zakładu, Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego